Tylko u nas – ogłoszenia drobne za darmo!!!

Łódź Odgłosy

Nr 20 (1705)
Rok I (XXXIV)
6 października
1991 r.
Cena 3000 zł

Meeting P.P.P.P.

Musimy wypić to piwo!!!

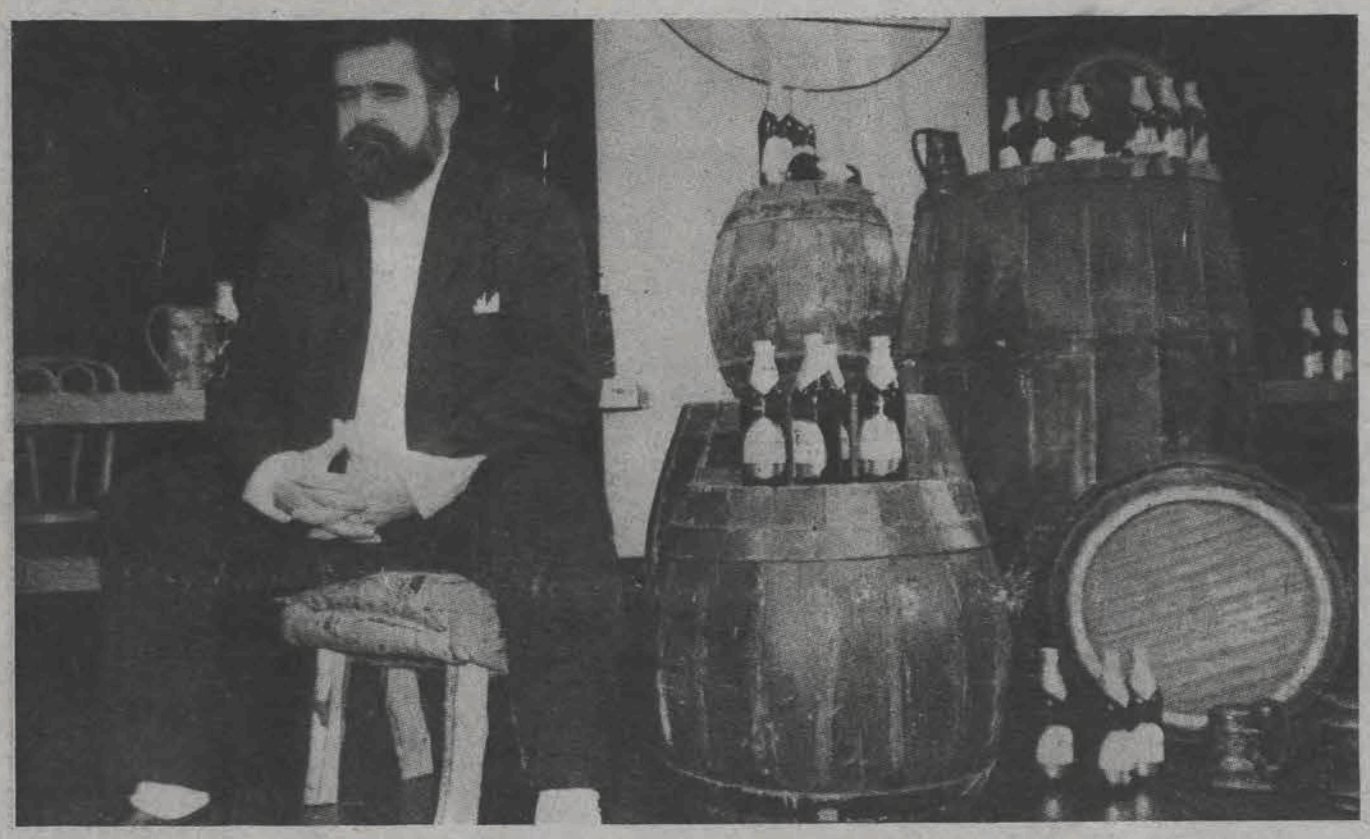

Fot.: Cezary Pecold

Łódzcy członkowie i sympatycy Polskiej Partii Przyjaciół Piwa byli z pewnością usatysfakcjonowani goszcząc na scenie Teatru Muzycznego prezydenta P.P.P.P. Janusza Rewińskiego wraz z kabaretową świtą (Agnieszka Fatyga, Stefan Fridman, Jerzy Kryszak, Krzysztof Piasecki i inni). Program prowadziła Karina Wojciechowska, Miss Polonia'91.

Sponsorem imprezy była firma „Kalenberg", reprezentowana przez Mirosława i Wojciecha Pogonowiczów oraz Grzegorza Korczaka, która zatroszczyła się również o przywiezienie do Teatru ponad 2000 butelek piwa własnej produkcji. Był to istny raj dla przybyłych gości. Każdy z uczestników meetingu mógł dostać piwo za darmo – niektórzy stali w kolejce po trzy, cztery razy – w zależności od potrzeb i objętości żołądka. O darmowy „napój bogów" postarali się także uliczni przechodnie. Najdziwniejszą rzeczą było to, że nikt się nie upił. Panowała sielska atmosfera, a kulturalnemu spożywaniu alkoholu towarzyszyła dobra zabawa. Widownia równie aktywnie uczestniczyła w przedstawieniu jak zaproszeni artyści.

W czasie trwającej ponad pół godziny przerwy goście wymieniali puste butelki na pełne, by móc godnie przyłączyć się do kabaretowego balu. Pili wszyscy, ponieważ głównym hasłem prezydenta było: *„Musimy wypić to piwo!"* W tym browarnianym boju nie oszczędzały się nawet licealistki. Zapytane, czy nie obawiają się, że ktoś je zobaczy i doniesie o tym w szkole odpowiadały: – *Robimy to po zajęciach szkolnych. A przecież teraz jest demokracja!*

Za kulisami

Trudno było dotrzeć do prezydenta, ciągle otaczał go tłum ludzi zbierających jego podpisy pod wizerunkiem na plakacie. Zjawili się nawet młodzi Litwini i Ukraińcy studiujący w Polsce z prośbą o możliwość wpisania się na listę członków P.P.P.P. Powiedzieli, że chociaż ich głosy w kampanii wyborczej się nie liczą, to pragną zostać członkami tejże wspaniałej partii. Jeden z nich przedstawił się jako organizator Partii Piwa na Ukrainie, drugi był sekretarze, a trzeci – skarbnikiem. Z wielkim hukiem i trzaskiem wtargnął Michał Fajbusiewicz wraz

Cd. str. 4

U nas kupisz taniej!
HURTOWNIA ARTYKUŁÓW ELEKTRYCZNYCH
JUST-AMICO
Łódź, ul. Duńska 1, tel. 52-12-02

„DAMIS"
bezpośredni importer – poleca:
ARTYKUŁY I ZABAWKI DO ROBIENIA ŻARTÓW, m.in.
● znikające atramenty
● sztuczne kupy
● brudzące mydła
● tańczące puszki
● I OKOŁO 180 INNYCH ATRAKCYJNYCH ZABAWEK TEGO TYPU
Łódź, tel. 56-01-88

CONFEXIM MARKET spółka z o.o.
Szanując przyzwyczajenia, nie tracąc jednak z oczu mody światowej i zapotrzebowania rynku, stawiamy do dyspozycji Szanownych Klientów:
– hurtownię
szeroki wybór atrakcyjnej odzieży importowanej,
– dom handlowy,
– usługi importowe,
– skład celny.
Posiadamy najlepszą obsługę, wyposażenie techniczne najbardziej znanych firm światowych, towar odpowiadający cenie pod względem jakości i rodzaju oraz możliwości finansowych kupujących.
Nasz adres:
Dom Handlowy „TEOFIL"
Łódź, ul. Aleksandrowska 38
sprzedaż detaliczna, hurtowa, usługi importowe
tel.52-71-60, 52-71-65, fax 55-71-39, tlx 88-51-62
BAZA MAGAZYNOWA I SKŁAD CELNY
Łódź, ul. Brukowa 8, tel. 51-55-16, magazyn nr 5
PRZYJDŹ, ZOBACZ, KUP! POLEĆ NAS SWOIM ZNAJOMYM!
ZAPRASZAMY

● Prezydent RP Lech Wałęsa zadzwonił do „Trybuny" i *„wyraził swoje najwyższe oburzenie"* z powodu informacji o zatrudnieniu jego syna na kierowniczym stanowisku w „Elgazie". Gdański korespondent „Trybuny" Zbigniew Wróbel postanowił sprawdzić krążące po Wybrzeżu plotki o zatrudnieniu syna Lecha Wałęsy – Bogdana – w „Elgazie". Informacje na ten temat publikowało wiele gazet między innymi poznański tygodnik „Wprost". Z. Wróbel postanowił zatem zapytać rzecznika prasowego „Elgazu" o prawdziwość tych informacji, do czego miał prawo. Rzecznik prasowy „Elgazu" ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził. *„Tym niemniej redakcja „Trybuny" jeszcze raz przeprasza Pana Prezydenta i Jego Rodzinę za doznane z powodu opublikowania notatki przykrości"*

W rozmowie z redaktorem naczelnym „Trybuny" Markiem Siwcem Pan Prezydent powiedział, że *„jak ruszy ulica, to i tak stanę na jej czele"*. Nie powiedział natomiast, przeciw komu razem z ulicą będzie protestował. A to byłoby bardzo ciekawe. Powiedział też: *– Jesteście mi wy, jako opozycja, potrzebni jak powietrze.* I to budzi trochę optymizmu oraz nadzieję , że coś jednak normalnieje.

● Powstała Łódzka Agencja Rozwoju Regionalnego, której celem ma być ożywienie i rekonstrukcja łódzkiego przemysłu. Kapitał zakładowy ŁARR wynosi 19 miliardów 700 milionów zł. Największym udziałowcem jest Agencja Rozwoju Przemysłu SA z Warszawy, która dała 10 miliardów zł, miasto Łódź – 5 miliardów zł. Pozostałe udziały zostały utajnione. Prezydent Miasta Łodzi desygnował do ŁARR dr nauk ekonomicznych **Jerzego Kropiwnickiego**, ale – jak podał „Głos Poranny" – jednocześnie sugerował, aby nie ujawniać, że przewodniczącym Rady Nadzorczej ŁARR ma być właśnie Jerzy Kropiwnicki, gdyż *„ze względu na kampanię wyborczą fakt ten może mieć negatywne konotacje"*. Niezależnie od tego, czy Jerzy Kropiwnicki jest jawnym czy tajnym przewodniczącym RN ŁARR składamy mu szczere gratulacje oraz życzymy, aby udało mu się coś wreszcie zrobić dla łódzkiego przemysłu. I mamy nadzieję, że się uda!

● Stan polskiej gospodarki jest przerażający i widzi to każdy, kto umie patrzeć. Życie dostarcza na ten temat coraz to nowe przykłady. Oto miał być zamknięty Wojewódzki Szpital Zespolony w Płocku, gdyż zalegał z opłatami za ciepłą wodę i elektryczność. Dyrekcja WSZ zwróciła się do rodzin 900 chorych, aby zabrali ich do domu. Na szczęście sumienie ruszyło kogoś w Ministerstwie Zdrowia i wyasygnowano 116 milionów zł, aby zapłacić choć część zaległości. Pozostało do uregulowania 10 miliardów zł, między innymi za leki, których nie ma i nie wiadomo, skąd je wziąć. Oczywiście blisko 100 milionów, jakie wydano na urządzenie mieszkania ministra zdrowia (miesięcznie płacono 32 miliony zł za hotel) nie pokryje ogromnych potrzeb służby zdrowia, ale ograniczenie takich wydatków do niezbędnego minimum przynajmniej poprawiłoby atmosferę wokół najważniejszego lekarza w RP.

● Zdaniem ZJM:

Dawniej, gdy naród nachodziła trwoga,
Gromko wołano: – Bij, kto wierzy w Boga!
Dziś, gdy w zasięgu ręki władza leży,
Inne brzmi hasło: – Bierz, kto w Boga wierzy!

● Łódź ma pecha. Nie tylko upada przemysł lekki, na którym to miasto wyrosło i stoi, ale spaliła się też fabryka papierosów. Pierwsze szacunki sugerują, że straty Łódzkiej Wytwórni Papierosów wyniosły około 20 miliardów zł. Spłonęły między innymi nowoczesne angielskie maszyny, które sprowadzono rok temu. Ocalał budynek administracyjny i magazyny papierosów. I choć sytuacja jest dramatyczna, to nam się przypomniały czasy „Ziemi obiecanej" Władysława Reymonta, kiedy to pożary fabryk były jedynym ratunkiem przed bankructwem. Oczywiście niczego nie sugerujemy, bo i skąd, ale skoro powracamy do drapieżnego kapitalizmu z XIX wieku, to i takie „rozwiązania" mogą powrócić.

● Przeciwko oszczędnościom w oświacie protestowali nauczyciele. Ci spod znaku ZNP milcząco maszerowali, ci spod znaku „Solidarności" pikietowali budynek kuratorium. Przewodniczący Tymczasowej Wojewódzkiej Komisji Międzyzakładowej Pracowników Oświaty NSZZ „Solidarność", Wiesław Łukawski wręczył kuratorowi protest.

● T. Dyjaczyński z Łodzi napisał do „Trybuny" list, zarzucając tej gazecie, że nie pisze o tym, iż *„robotnik ma coraz większą nędzę, bo to już nie jest bieda, ale nędza"*. Dodał jeszcze, że *„ gdy dziennikiem Łodzi był „Głos Robotniczy", to coś orobotnikach pisał. Obecnie gazety są albo prawicowe, albo centrowe"*. T. Dyjaczyński nie zauważył, że zmieniły się nie tylko gazety, ale też „ przewodnia siła narodu". Warto się czasem uważniej rozejrzeć wokół siebie.

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy"
Redaktor naczelny Mirosław Kuliś
Wydawca: „Odgłosy-Press" S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

OGLĄDAJĄC „STUDIO WYBORCZE"

Za trzy tygodnie będziemy żyć w całkiem innym kraju. Polska stanie się państwem silnym, niezależnym i w pełni niepodległym. Będzie miała odpowiednio i nowocześnie wyposażoną armię, a właściwie profesjonalne wojsko uzbrojone wedle światowych standardów. Rolnictwo dzięki dotacjom i kredytom, tanim traktorom i nawozom sztucznym oraz odpowiedniej polityce celnej, nabierze rozpędu i zapewni wszystkim Polakom produkty najwyższej jakości. Stanie na nogi przemysł: zniesie się popiwek, zakłady otrzymają wsparcie budżetowe, albo zostaną szybko sprywatyzowane, zniknie prawie dwumilionowe bezrobocie. Utworzy się nowe miejsca pracy w czym pomoże nam EWG i kapitał amerykański. Rosja i sfederowane, bądź niepodległe republiki zasypią nas zamówieniami na kartofle, cebulę i patefony. Handel zagraniczny stanie więc na nogi. Będziemy mogli kupować najnowocześniejsze technologie i ruszy z kopyta rodzima produkcja. Odrodzi się rzemiosło i wzbogaci baza usług. Dzięki autostradom i szybkim kolejom zarobimy na tranzycie i turystyce, zapewniając przyjezdnym zdrową żywność.

Państwo będzie bogate, zatem wzrosną dotacje na oświatę, naukę i kulturę, które rozwiną się tak, iż Europa, która patrzy na nas z nadzieją, oniemieje i bez wahań przyjmie nas z otwartymi ramionami. Tym bardziej, że przekształcimy się w kraj w pełni chrześcijański i katolicki, a więc naród propagujący wartości, na które Niemcy, Francuzi i inni poganie oczekują od stuleci. Odzyskają publiczność teatry i polskie filmy. Będzie wreszcie społeczna i niezależna telewizja oraz konkurujące z nią stacje prywatne. Znikną monopole. Postawimy na naszą, narodową przedsiębiorczość. Będziemy niepodległi od obcych kapitalistów. Pomoże nam Pan Bóg i nieustająca myśl o naszych przodkach.

Przestaną dymić fabryki i huty, w rzekach i jeziorach znów popłynie czysta woda, bo wszędzie powstaną oczyszczalnie ścieków, a na kominy nałożymy nowoczesne filtry. Dzieci z najbardziej zagrożonych ekologicznie obszarów będą rokrocznie wyjeżdżać, na długie miesiące, na Mazury, nad morze i do Bukowiny Tatrzańskiej.

Wzrosną renty i emerytury: nie będą to już jałmużny i zapomogi, a postawione na nogi lecznictwo i opieka socjalna zapewni wszystkim członkom społeczeństwa długi i zdrowy żywot wśród nieskażonych lasów i parków narodowych.

Zniknie kolejka oczekujących na mieszkania, bo bądź zbudujemy je sami, albo pomogą nam Francuzi, a może nawet Amerykanie. Wystarczy tu tylko podjąć parę ustaw oraz rozporządzeń. Cegłę wypalać umiemy, a rąk do pracy nie braknie.

Wzmocnimy urząd Prezydenta, autorytet Sejmu i uprawnienia Rządu. Okrzepną partie. Wszyscy obywatele będą mieli zapewnioną równość praw i swobód. Poczujemy się bezpieczni w domach, na parkingach i podczas wieczornych spacerów. Policja stanie się instytucją sprawną, lotną i przebiegłą w tępieniu zła, występków i kradzieży.

Rokwitnie kultura mniejszości narodowych, powstaną szkoły z językiem litewskim, ukraińskim, białoruskim, a nade wszystko niemieckim. Ułożymy tak stosunki z naszymi sąsiadami, że rodacy, mieszkający pośród obcych, będą mogli cieszyć się pełnią obywatelskich wolności. Może przystąpimy do NATO. A na pewno wsparci przez Havla i bratanków Węgrów wkroczymy do Wspólnoty Europejskiej, co nam się należy przynajmniej od czasów Bolesława Chrobrego.

Najpierw się sprywatyzujemy. Każdy obywatel będzie miał wreszcie coś własnego: mieszkania, sklepy, grunta i fabryki. Może nawet dostaniemy po sto milionów (wciąż sprawa nie jest jeszcze rozstrzygnięta). Oddamy też prawowitym właścicielom zagrabione przez komunistów mienie: dwory, zamki, pałace, domy i apteki. Samych komunistów pozostawimy tymczasem w spokoju (zresztą to się jeszcze zobaczy), ale nie wszystkich: tym, co będzie trzeba, oczyścimy sumienia i kieszenie. Przetrzepiemy spółki nomenklaturowe, zwalczymy korupcję, odbierzemy nieuczciwe zdobyte fortuny, aferzyści poniosą karę. Muszą więc wzrosnąć pensje, nie ma rady. Odetchną nauczyciele i lekarze, górnicy i kolejarze, cofnie się recesja, ustaną strajki i głodówki.

Jeszcze tylko trzy tygodnie tych zgryzot, strachów i niespokoju. Już 27 października, kiedy tylko wrzucimy głos do urny, będziemy mogli zasiąść przed telewizorem, wypić kawę, a wieczorem zasypiać ze świadomością, że rano obudzimy się w innej Polsce. Nowo wybrani posłowie i senatorowie oraz ich partie zabiorą się ochoczo do realizacji swoich programów, które odtąd staną się naszymi.

Recepty i remedia są tak proste i oczywiste, że tylko głupi by ich nie dostrzegł. Cep, kawał kiełbasy, zwyczajny bochen chleba, zielony liść, powstańcza mogiła, krzyż, łan żyta i Belweder, widziany z łazienkowskiego mostku, wystarczą za wszystkie programy. Dajmy sobie więc spokój już z tym Balcerowiczem i jego pomysłami. Co nam będzie Kuroń wymyślał od klawiszy i opowiadał, że minister Glapiński opieszale zabierał się do swoich spraw. 27 października, ze wzniesionymi do góry dwoma palcami na znak zwycięstwa, odwrócimy bieg dziejów.

Będzie pięknie, dostatnio i szczęśliwie.

Grzegorz Gazda

Belweder to niezwykle tajemniczy obiekt w państwie

„Usytuowany w samym sercu kraju Belweder to ciągle jedno z najbardziej nieprzeniknionych i zagadkowych miejsc" – pisze w ostatnim (39) numerze **„Wprost" Kazimierz Pytko**, który zatytułował swój artykuł: „Zagadki belwederskie". Zagadką są np. dla autora zmiany personalne w kancelarii prezydenta:

„Szef kancelarii i lider PC Jarosław Kaczyński zapewnia, że w jego stosunkach z prezydentem nie zaszło nic szczególnego". Ukrywanie tajemnic „kuchni" jest prawem polityka. Dlatego dyplomatyczne uniki Kaczyńskiego można zrozumieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że zapowiadane na okres przedwyborczy zmiany już się rozpoczęły. Wymownym tego przykładem stało się ograniczenie wpływów szefa kancelarii i wyłączenie z jego gestii dwóch ważnych instytucji. Kierowany przez Arkadiusza Rybickiego Zespół Obsługi Politycznej Prezydenta został podporządkowany rzecznikowi Andrzejowi Drzycimskiemu, a Zespół Obsługi Organizacyjnej z Krzysztofem Puszem – dyrektorowi gabinetu. Mieczysławowi Wachowskiemu. (...)

Pozycja Kaczyńskiego została mocno osłabiona. Spod jego kompetencji wyjęto bowiem zespoły przygotowujące oświadczenia i publiczne wystąpienia prezydenta oraz jego krajowe i zagraniczne podróże. Mówiąc bardziej obrazowo – pozbawiono go wpływu na wszystko, co stanowi istotę pracy kancelarii"

Jaki jest sens tych zmian? Zdaniem autora, najprawdopodobniej chodzi o...:

„... odpartyjnienie kancelarii, która przez znaczną część opinii publicznej i liczne ugrupowania postrzegana jest jako jeszcze jedna agenda Porozumienia Centrum.(...) Przetasowania personalne w kancelarii świadczą o woli wzniesienia się przez Lecha Wałęsę także ponad podziały ideologiczne.

Drzycimski oraz Wachowski należą do kategorii ludzi wiernych prezydentowi, nie związanych przy tym z żadnym programem politycznym, a właśnie oni zostali awansowani kosztem działaczy partyjnych".

Przyjrzyjmy się drugiemu z awansowanych – **Mieczysławowi Wachowskiemu**. Jest on – jak na Belweder przystało – postacią wielce tajemniczą. Nie wiadomo nawet, ile ma lat, ani jakie wykształcenie. Zdaniem Zdzisława Najdera, jest on jedną z najbardziej wpływowych osób w całym państwie. Z lektury **„Gazety Wyborczej"** (z 29 września – artykuł „Wszyscy ludzie prezydenta") można się także dowiedzieć, że krąży na jego temat wiele niepochlebnych opinii, dotyczących rzekomej niekompetencji oraz kojarzenia go – słusznie czy nie – z różnymi aferami. Dlaczego ceni go więc prezydent? Oto próba odpowiedzi, udzielona przez „Gazetę Wyborczą":

„Wałęsa go lubił za zadziorność, za to, że mu się nie podlizywał – mówi jeden z polityków (...) – Żartował z Wałęsy, mówiąc do niego „ ty idiocie". Miał świetne wyczucie dowcipu sytuacyjnego, trafiał dokładnie w słabe punkty Wałęsy i przez to utrzymywał go na stałym poziomie napięcia, podenerwowania. Wałęsa jest najlepszy, gdy jest skupiony i wściekły, i wie o tym. A jednocześnie Wałęsa mógł przy nim odpoczywać, nie czuł się spięty jak w towarzystwie ekspertów. Wachowski pełnił rolę, znaną dobrze z historii, trefnisia królewskiego, który przecież mógł prawić dowolne impertynencje Jego Królewskiej Mości. Wałęsa powtarzał: „zaraz cię wyrzucę, już cię wyrzucam", ale było jasne, że to tylko gra".

Jeszcze inni nazywają Wachowskiego „kamerdynerem" lub „szarą eminencją". Liczba tych określeń dowodzi, iż mamy do czynienia z naprawdę ważną osobistością. Jak podaje **Agnieszka Kublik** w tejże **„Gazecie Wyborczej"** główny obecnie doradca Wałęsy stał się powodem zadrażnień pomiędzy Belwederem, a prezydencką kancelarią (Belweder gdzie stoi, wie każdy, zaś kancelaria mieści się tuż przy Sejmie):

„Stosunki między kancelarią i Belwederem zaostrzyły się, gdy Wałęsa mianował Wachowskiego sekretarzem stanu. W kancelarii mówią, że początkowo Wałęsa nie chciał zgodzić się na nominację Wachowskiego, ale ten sam ją napisał i w końcu wyprosił podpis u prezydenta.Od tego czasu między Wachowskim a kancelarią trwa już otwarta wojna. Podobno bracia Kaczyńscy i Siwek w każdej chwili gotowi są podać się do dymisji. Prezydent ma ich wstrzymywać zapewnieniami, że wszystko zmieni się po wyborach. (...) Wiele osób w kancelarii mówiło mi, że jeżeli Wachowski nadal będzie rządzić w Belwederze, to oni po prostu zrezygnują z pracy."

Wspomniana „Gazeta Wyborcza" w artykule „Wszyscy ludzie prezydenta" omawia również sylwetkę innego czołowego doradcy Wałęsy – Krzysztofa Pusza. Opisuje przy tej okazji, jak to Pusz omal nie „wyleciał" z posady po opublikowaniu w tygodniku Urbana „Nie" plotki o tym, że sekretarki prezydenta uprawiają *„stosunki cielesne z chłopcami z BOR- u"*. Tymczasem ostatni (39) numer **„NIE"** zawiera informacje znacznie bardziej interesujące. Oto na pierwszej stronie tego poczytnego pisma zamieszczono dwie fotografie naszego prezydenta: na pierwszej z nich rozmawia on w gabinecie z prezesem „ART-B" **Bogusławem Bagsikiem**, a na drugiej podaje dłoń jego zastępcy – **Andrzejowi Gąsiorowskiemu**. Komentarz jest następujący:

„Pozyskaniu fotografii, przedstawiciel redakcji (...) natychmiast poleciał do Izraela, by przepytać rezydujących tam szefów „ART-B". Bagsik i Gąsiorowski, dawni szefowie „ART-B" zachowywali się tak, jakby w ogóle nie znali osoby, którą zaszczycali wspólną fotografią. Można by pomyśleć, iż wręcz nie wiedzą, kto zacz ten facet z wąsami. Usiłowali odzyskać fotografie. Próby te ponawiali potem przez pośrednika w Polsce (...) Z nagrywanych rozmów z Andrzejem Gąsiorowskim wynika, że geniални finansiści z „ART-B" nie są gotowi do szczerego i pełnego przedstawienia swoich powiązań z „Telegrafem" i związanymi z tą spółką ludźmi przybelwederskimi. Na niektóre pytania, stawiane przez „Nie" Gąsiorowski nie odpowiadał, lub odpowiadał tylko połowicznie, albo ogólnikowo. Pewnym faktom nie mógł jednak zaprzeczyć (...) Uważamy (...), że czystej ucziwe funkcjonowanie państwa wymaga tego, aby stosowne władze zbadały wątki czy poszlaki, świadczące o istnieniu takich niebezinteresownych powiązań.

Ponieważ poszlaki prowadzą ku osobom tworzącym belwederską elitę i kierownictwo Porozumienia Centrum, dochodzenie powinny prowadzić czynniki niezależne od władzy wykonawczej, w Polsce bowiem policja i UOP są, podobnie jak prokuratura, ogniwami rządu zależnego od prezydenta. Proponujemy więc powołanie komisji sejmowej, złożonej z posłów różnej orientacji a wspomaganej przez NIK.

Oto niektóre pytania, jakie komisja powinna zadać, by szukać na nie odpowiedzi:

– Czy przed wyborami prezydenta RP pan Lis, znany działacz „Solidarności", pracujący w sztabie wyborczym Lecha Wałęsy, przyjmował wielkie pieniądze na kampanię wyborczą od szefów „ART-B"? (...)

– O czym w czerwcu 1991 r., kiedy już od dawna UOP śledził spółkę „ART-B", rozmawiał min. Zalewski z Kancelarii Prezydenta z p. Gąsiorowskim? Czego chciał minister? Czy prawdą jest, że 1 sierpnia 1991 r. odbyło się spotkanie przedstawicieli nomenklaturowej spółki „Telegraf" SA z „ART-B" i proponowano, by „ART-B" kupiła od „Telegrafu" akcje, płacąc 1,5 mln. dolarów? Jak i dlaczego do transakcji nie doszło, czy tylko w wyniku różnicy zdań pomiędzy dygnitarzami, skupionymi w „Telegrafie"?

Pytanie najważniejsze z dotyczących „Telegrafu": Czy prawdą jest, że bogactwo „Telegrafu" pochodzi z pieniędzy „ART-B" (...)"

Prawda, drodzy Państwo, że po lekturze powyższego tekstu Belweder i jego okolice jawią się jeszcze bardziej tajemniczo, niż wydawało się to cytowanemu na początku autorowi „Wprost"?

AG

„Czy uda, że nie nakłonił mnie do aborcji?"

Dlaczego właśnie on?

– Całą noc nie spałam. Wyobrażałam sobie, że pójdę jutro na Piotrkowską, na ten jego przedwyborczy występ. Że wstanę i przy wszystkich zapytam go, co sądzi o przerywaniu ciąży. Wyobrażałam sobie, jak zareaguje: czy spurpurowieje i wyjdzie z sali? A może będzie udawać, że mnie nie poznaje, że nigdy nie nakłaniał mnie do aborcji?

Nie, nazajutrz nie zdobyłam się na to. Postanowiłam mu tego oszczędzić. Tylko, na miłość boską, dlaczego on jest kandydatem partii chrześcijańskiej? Dlaczego właśnie on?

Grażyna L. zapala papierosa. Trzyma go blisko twarzy. Drugą, drżącą wciąż ręką odkłada zapalniczkę. Zaciąga się głęboko, wypuszcza obłoczek dymu. Zza niego, jak zza parawanu, stara się przywołać wspomnienia.

Nie idzie jej to łatwo.Niełatwo zwierzać się z najintymniejszych przeżyć komuś obcemu. Wywlekać przed nim na światło dzienne to, co od ponad 20 lat jest tajemnicą ich dwojga: jego i jej. Wówczas, na początku lat sześćdziesiątych, kilkunastoletnich zaledwie smarkaczy...

Poznali się już w szkole podstawowej. Uczęszczali razem do kółka artystycznego w emdeku. W liceum zaczęli ze sobą chodzić. On został nawet zaakceptowany przez jej rodziców. Zauważyli od razu, że bardzo do siebie pasują. Ona, młodziutka, naiwna, nie widziała poza nim świata. No i stało się: zaszła w ciążę. Na krótko przed maturą.

Nie pamięta już dobrze, czy chciała tego dziecka. Chyba nie, bo gdzieżby – taka młoda, przy rodzicach – i nagle matka? Chciała przecież zrobić maturę, ukończyć szkołę... Ale decydujące było to, że nie chciał on. Nieważne, dlaczego. Chyba po prostu dlatego, że był zbyt młody. Za młody na ojca.

Lekarz, do którego się początkowo zgłosiła, zawiadomił nauczycielkę. Nie nikomu nie powiedziała, nie porozmawiała ze swoją uczennicą. Rodzice się domyślali, ale nie chcieli o niczym wiedzieć. Wiedziały też koleżanki, ale one przynajmniej pomogły. Któraś pożyczyła jej sporo pieniędzy. Na zabieg, oczywiście.

– To było o tyle proste, że bardzo chciałam skończyć to liceum – tłumaczy spokojnie.

Nie przestali ze sobą chodzić. Miała do niego nadal bezgraniczne zaufanie. Wierzyła, że aborcja była tylko epizodem, bez dalszych konsekwencji. Chłopak się jej podobał, bo taki był dynamiczny. Wiedział, czego chce w życiu. Nie ukrywał, że interesuje go wyłącznie kariera. Z nią u jego boku, oczywiście.

Zapamiętała charakterystyczny epizod. Na pierwszym roku studiów zapisał się do partii. Nie przyszło jej do głowy, aby go wówczas potępiać. Ale jednak zapamiętała epizod z legitymacją. Ach, jaki on był dumny z tej czerwonej książeczki! Kiedy wieczorem, w parku zatrzymał ich patrol milicji, nie sięgnął po dowód, tylko po tą swoją legitymację, wpychając ją przed oczy stróżów prawa. Dlaczego akurat to zapamiętała? Chyba było jej wtedy jakoś niewyraźnie...

Na drugim roku studiów na politechnice powtórnie zaszła z nim w ciążę. Nie może o tym opowiadać spokojnie. Nawet teraz, po latach.

Tak, jak za pierwszym razem, nikt jej nie pomógł.

Ani rodzice, którzy byli bardzo, bardzo starej daty.

Ani on.

Z tym, że owszem, tak jak za pierwszym razem poszedł z nią razem do lekarza. Do tego samego, zresztą.

Pan doktor starał się być ludzki. Ostrzegł, że ten drugi zabieg może ją uczynić bezpłodną. Nie wykluczył, że może być niebezpieczny. Odradzał, nawet dość stanowczo. Ale on był uparty. Nie chciał żadnego dziecka. A ona była słaba. Więc doktor w końcu się zgodził. Za jedną pensję.

– Matka nie pracowała, ojciec przeszedł akurat na emeryturę. Ja miałam tylko niewielkie stypendium. Samej, bez niego, byłoby mi ciężko wychowywać to dziecko – zwierza się na głos z usprawiedliwień, które powtarzała sobie w myśli tysiące razy. Które nadal będzie powtarzać, dopóki żyje.

Po zabiegu, gdy otrząsnęła się z szoku i ogarnęła rozumem, co ją spotkało... Nie, nie opowie tego dokładnie. Dość, że połknęła jakieś lekarstwa. Wszystkie, jakie były w szufladzie.

Zrobili sondę, odratowali ją, sama nie wie jakim cudem.

A on, on powiedział jej potem, że nie mógł postąpić inaczej. Musiał, tak jak za pierwszym razem, odprowadzić ją do lekarza. Do ginekologa – poprawia się, opowiadając. Tłumaczył jej wtedy, że jest to kwestia jego kariery. Nie chciała już tego słuchać. Nie chciała już go oglądać.

Ułożyło jej się w końcu życie. Skończyła politechnikę, pracuje jako inżynier w „Fonice". Wyszła za mąż, ma dwoje wspaniałych dzieci, które o niczym nie wiedzą. Jest szczęśliwa, na pewno.

Z nim spotyka się czasami, najczęściej jednak przelotnie. Chociaż bywa, że porozmawiają. On traktuje ją wtedy jak dobrą koleżankę. Stara się być miły. Radzi się nawet, po starej znajomości. Ona z oddalenia obserwuje jego karierę.

Wiedziała, że w 1981 roku pokłócił się z szefem placówki artystycznej, gdzie pracował. Żeby mu dopiec, zapisał się do „Solidarności". Był to wybór szczęśliwy: zapewnił mu na przyszłość opinię „słusznego" działacza. Opinię tę umocnił jeszcze okres stanu wojennego. W tych trudnych czasach znalazł sobie pracę pod parasolem kościoła, organizując imprezy artystyczne po parafiach. To go potem wyniosło. Po „okrągłym stole" wypłynął już jako polityk. Co prawda – na skalę lokalną. Ale po wyborach samorządowych, gdy został wybrany na radnego, ambicje mu jeszcze wzrosły. Teraz celuje wysoko – wprost na ławy sejmowe.

Nie zazdrości mu willi ani samochodu. Ze spokojem przyjmuje jego wpływy we władzach. Wstrząsnęło nią dopiero, gdy dowiedziała się, jakiej partii użycza swe talenty. Niechby sobie startował z socjaldemokracji. Albo nawet z unii. Tylko na miłość boską, dlaczego właśnie z partii chrześcijańskiej?

Nie poszła na jego przedwyborczy występ. Nie starczyło jej sił. Ale w kilka dni później, gdy spotkała go na ulicy, nie wytrzymała. Zapytała, jak godzi swą przeszłość z poglądami, które obecnie głosi publicznie. O aborcji, w szczególności. O tym, że ciężkim jest grzechem usuwanie ciąży, niezależnie od okoliczności, które do tego zmuszają. Że ten grzech spadą nie tylko na kobietę, ale i na lekarza, nie mówiąc już o przyszłym ojcu. Że to jest straszny grzech.

Nie wyraził skruchy, nie uderzył się w piersi.

Odpowiedział, że od kilkunastu lat pracował usilnie na to, aby takie właśnie poglądy mógł głosić publicznie.

Nie jest więc zakłamany. Wierzy w to, co mówi.

A przeszłość – jest tylko przeszłością.

Andrzej Gęborowski

PS.
Personalia zostały zmienione.

UWAGI SCEPTYKA

Mały Kazio i kapitaliści

Niestrudzone w wymyślaniu różności, miłościwie nami zawiadujące władze miejskie, jak słyszę, pracowicie natężyły się i w wyniku tego napięcia urodziła się im idea, pomysł mający kolosalne znaczenie dla przyszłości Łodzi. Oto Pałac Ślubów dla dzielnicy Polesie przy ul. Skorupki (d. Worcella) ma zostać zamknięty, a w neorenesansowych wnętrzach willi pofabrykanckiej, gdzie do tej pory słychać było marsza weselnego Mendelssohna i życzenia szczęścia na nowej drodze życia, ma powstać klub kapitału, czyli niezwykle potrzebna, prawdziwa placówka wyższej użyteczności publicznej.

Jak powszechnie wiadomo, a łódzkie władze są widać o tym przekonane (tu chciałoby się zacytować pana Zaglobę: *„Boże, ty to widzisz i nie grzmisz?"*), pierwszą potrzebą kapitalistów jest posiadanie własnego klubu, bowiem do tej pory ci nieszczęśni ludzie swoje interesy musieli załatwiać w bramach, w poczekalniach tramwajowych i innych podobnych miejscach nie licujących z powagą prowadzonej przez nich działalności. A w takim klubie to nie tylko biznes się załatwi, ale i wódeczki z innym kapitalistą ze smakiem się łódzki albo i pozałódzki posiadacz kapitału napije, pawia z przyjemnością na dębową boazerię puści, aby ulżyć swemu jestestwu umęczonemu robieniem interesów, chętną panienkę przytuli na kanapce, pofiguje i ochoty do życia oraz pomnażania pieniędzy nabierze. A przecież jeszcze do takiego klubu, hojną rączką władzy, która chętnie chce rozdawać to, co do niej nie należy, tego i owego łódzkiego prominenta i magistrackiego kancelistę wdzięczni kapitaliści zaproszą, drinka postawią i po plecach poklepią. Władza zawsze lubi dyskretny zapach pieniędzy. Ot, choćby na balu kapitału łódzkiego w Muzeum Historii Miasta było tylu samo kapitalistów, co i różnego garnituru lokalnych urzędników, posłów i tym podobnych osób z kręgu władzy.

Tu już można domyślać się po co do Łodzi niedawno przyjechała wielka ciężarówka z niemiecką gorzałą „royal", nielegalnie sprowadzoną przez naszych dzielnych, pracowitych i obrotnych kapitalistów. Sądzę, że to na zaopatrzenie własnego klubu. Niestety, pan prokurator wojewódzki popsuł sprawę, bo najmniej winnego – kierowcę owego wehikułu, czerwonoarmiejca zresztą zapudlował, ale nie straconego, pozostałych przedsiębiorców od obrotu alkoholem będzie mógł spotkać w klubie kapitału.

Oczywiście w takiej enklawie, rzecz jasna dostępnej tylko dla posiadaczy kapitału i koniecznie ulokowanej w obiekcie zabytkowym, kapitalista dopiero będzie wiedział, że żyje i będzie protektorem dla fundatorów klubu. Może nawet jak już stracą oni miejskie posady z powodu niekompetencji, nieudolności i niefrasobliwości, do swojej firmy przygarnie, albo chociaż jako barmana lub szatniarza w ekskluzywnym przybytku kapitału zatrudni. Wszak żadna praca nie hańbi, a już najmniej ta, która polega na mnożeniu pieniędzy i służbie ludziom, którzy to czynią.

A w ogóle Pałac Ślubów jest przecież fatalną pozostałością starego ustroju, który zniewalał do ślubów cywilnych eleganckim świeckim wnętrzem. Teraz te wszystkie formalności ślubne można załatwić w kancelarii parafialnej i w kościele, opłaty za śluby pójdą na wspomożenie sług bożych, których przedstawiciel na pewno kapitalistyczne klubowe wnętrze odpowiednio wyświęci i pobłogosławi. Jeśli władze miasta dekomunizują nazwy ulic i odczyniają uroki z pomnikami i instytucjami ancien regime'u, to nie ma żadnych powodów, aby utrzymywać jakieś tam pałace ślubów. Dla tych nielicznych, co nie chcą zawierać małżeństwa w kościele, to ostatecznie gdzieś w biurze kąt się znajdzie, aby ich zarejestrować. Zresztą, jako żyjący w grzechu nie zasługują na szczególne względy. Co innego kapitaliści – tacy to na kościół dadzą, i kampanię wyborczą sfinansują, i przyjaźnią swoją zaszczycą. W pełni więc zasługują na to, aby mieli swój klub. Apeluję do rządów Łodzi – dbajcie o kapitalistów, bo jak wiadomo dzięki ich pieniądzom wszyscy będziemy szczęśliwi.

Mogą się wprawdzie pojawić małoduszne poglądy i wypowiedzi, że kiedy przed ponad stu laty rosła jak na przysłowiowych drożdżach (wtedy to były carskie ruble i możliwość praktycznie nieograniczonego handlu z imperium rosyjskim) kapitalistyczna Łódź, to posiadacze kapitału przede wszystkim budowali fabryki i banki, magazyny i bocznice kolejowe, sprowadzali maszyny i technologie. Bąków w klubach kapitału nie zbijali, zresztą do głowy by im to nie przyszło, aby jako pierwszą swoją potrzebę zażyczyć sobie posiadanie klubu. Interesy załatwiano przy drzwiach zamkniętych, we własnych kantorach i gabinetach. A nadmiar pieniędzy przeznaczano na takie cele, jak: ufundowanie szpitala, zakup ziemi na cmentarz, doposażenie straży ogniowej itp. Byli to jednak przede wszystkim Żydzi, Niemcy i jeszcze inny obcy narodowo i religijnie element, z którego prawdziwie chrześcijańskie i narodowe władze Łodzi nie powinny brać przykładu ani nauki. Dowodem na oryginalność i odcięcie się od starokapitalistycznych metod jest pomysł klubu kapitału, który ma powstać w przewidzianym do likwidacji poleskim Pałacu Ślubów, zresztą najładniejszym w Łodzi, w mieście, gdzie nastąpiła katastrofa gospodarcza, gdzie co dziesiąty człowiek jest bezrobotny, gdzie nie ma pieniędzy na oświatę, służbę zdrowia i kulturę.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Jerzy Hutek

Urodził się w Łodzi, w dzielnicy śródmiejskiej, za późno, aby doświadczyć na własnej skórze grozy stalinizmu, dostatecznie jednak wcześnie, aby poznać jego nawroty. Takim szokiem był dla niego marzec 1968.

Wcześniej jednak były dość idylliczne lata szkolne. Liceum im. Bolesława Prusa cieszyło się, chyba zasłużenie, dobrą opinią, wiele przedmiotów ogólnokształcących wykładali nauczyciele akademiccy, w szkole funkcjonował uczniowski teatrzyk. Wyreżyserował w nim „Suknię balową" – żart Prusa we własnej adaptacji. Wtedy też po raz pierwszy przekonał się czym jest cenzura stojąca na straży dobrych obyczajów.

Na maturze z polskiego miał piątkę i chyba dlatego uległ presji wychowawczyni, aby zdawać na polonistykę, choć bardziej odpowiadało mu prawo. Dziś nie żałuje tamtego wyboru, zdobył na uczelni solidne podstawy humanistyczne.

Nie widział się nauczycielem, może też dlatego od początku związał się ze Studenckim Teatrem Uniwersytetu Łódzkiego. Ów STUŁ połączył się po jakimś czasie z podupadającym wówczas „Pstrągiem". Na tej scenie wystawił „Unibosa", groteskowe perypetie inteligenta na przestrzeni dziejów. Przygody człowieka myślącego pasjonują go do tej pory. Przez kilka lat szefował ważnej inicjatywie kulturalnej – Łódzkim Spotkaniom Teatralnym. Był to czas, gdy artystyczny ruch akademicki przeżywał swoją powtórną młodość.

Wtedy też Jerzy Hutek dokonał ostatecznego wyboru drogi życiowej: magisterium zrobił na teatrologii u prof. Stanisława Kaszyńskiego.

Później przez cztery lata pracował w łódzkiej rozgłośni w redakcji rozrywki. Radio pod dyrekcją Jana Pakuły, zawodowego cenzora, nie odpowiadało mu jednak i zdecydował się na studia reżyserskie. Miał 28 lat, kiedy zdał do Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie.

Lata powtórnych studiów wspomina dobrze, dorabiał sobie pisanem i stać go było nawet na „bankiety" w „Spatifie", gdzie przesiadywała bohema. Dyrektor Maciejowski zaproponował mu etat reżyserski w Teatrze Jaracza, wrócił do Łodzi ustabilizowany zawodowo a nawet materialnie.

Sukcesem kasowym była pierwsza w powojennej Polsce realizacja sztuki Zygmunta Nowakowskiego „Gałązka rozmarynu", poświęconej legendzie legionowej. Chociaż cenzura zabroniła grać „Pierwszą Brygadę" do teatru waliły tłumy, a członkowie KPN i piłsudczycy często wrzucali na scenę bukiety biało-czerwonych goździków.

Tak naprawdę interesowała go jednak transformacja współczesnej polskiej prozy na formy teatralne. Za swój największy sukces uważa adaptację „Grenadiera króla" Andrzeja Kijowskiego, ceni także realizację „Cesarza" Ryszarda Kapuścińskiego. Największą klęskę jako reżyser poniósł wystawiając „Męża i żonę" Fredry.

W 1987 r. objął dyrekcję Teatru Nowego, gdzie reżyserował n.in. „Próbę" Tadeusza Siejaka we własnej adaptacji. Zdawał sobie sprawę, że teatry polskie stoją przed koniecznością zmian organizacyjnych i usiłował z wolna przygotować do tego zespół, popadł jednak w nieuchronny konflikt z „wiecznymi halabardnikami", którzy pragnęli zachować status quo, to znaczy wygodne, dożywotnie etaty. Odszedł więc z Nowego i nie czuje żadnej satysfakcji, że osobistą klęską jako dyrektor poniosła także jego następczyni, potykając się o tę samą barierę. Jeśli czegoś żałuje to wstrzemięźliwości w obsadzaniu swej żony Anny Grzeszczak, aktorki tego teatru. Co prawda urodziła wtedy kolejno dwoje dzieci, co utrudniało realizację ambicji zawodowych. Łącznie z dziesięcioletnimi już bliźniętami mają czwórkę pociech, żyją więc artystycznie, ale i rodzinnie.

Jako wolny reżyser zrealizował w londyńskim emigracyjnym teatrze „Miniatura" dwa poematy dramatyczne Beaty Obertyńskiej, współpracuje też z licznymi scenami krajowymi. Prowadzi również w ŁDK własny teatr „Ateliers'91", gdzie wystawił „Końcówkę" Becketta. Jako bezrobotny otrzymał pożyczkę w wysokości 18 mln zł i założył firmę, która wyprodukowała mimi-krykieta. Interes nie rozwija się najlepiej, Hutek tkwi w długach, pociesza się jednak, że nawet Szekspira ścigali wierzyciele. Obecnie pisze sztukę „Dżuma w mieście Breslau", zakończył 1 akt. Ma nadzieję, że ta próba znajdzie publiczność. Na frontonie teatru poznańskiego jest napis: „Naród-sobie". I on mówi wszystko, co trzeba zrobić.

K.F.

Musimy wypić to piwo!

Cd. ze str. 1

z ekipą programu 997. Stanął obok prezydenta, aby zmierzyć się z nim na brzuchy. Jednak brzuch Janusza Rewińskiego, dzięki wieloletniemu stażowi piwosza, nie dawał żadnych szans konkurencji. Michał Fajbusiewicz, widząc swoją porażkę, zadał strategiczne pytanie:

– Co pan wie o nielegalnych chmielowych spółkach?

– Nie ma takich spółek, nie ma żadnych nielegalnych spółek. Z kim pan pracuje, co to za mafia? Nie ma takich spółek. No, słucham, co z tym chmielem?

– No właśnie ja mogę panu powiedzieć co. Bo ja dużo wiem. Tylko nie mam zgody prokuratora na opublikowanie tych informacji.

– Nie wiem, czy pan wie, że w Częstochowie jest piwo, które się nazywa „Kmicic", a na nalepce jest wizerunek Olbrychskiego.

– To duża reklama.

– No tak, Olbrychskiego. Słucham pana, co tam słychać w Łodzi?

– W Łodzi jest biednie, choć mamy dobry browar.

– Przede wszystkim jest festiwal piwa jedyny w kraju. Studenci robią, a państwo z Wydziału Chemii Spożywczej Politechniki są wysokiej klasy ekspertami.

– Czy sądzi pan, panie prezydencie, że w Łodzi moglibyśmy się wycofać z przemysłu lekkiego, włókienniczego i postawić na piwo?

– Absolutnie. Zresztą Kalenberg już to robi, co my będziemy odkrywać Amerykę. Najbogatsi ludzie to właściciele browarów.

– Odpowiedział pan tak poważnie, może niech pan powie coś śmiesznego.

– Śmiesznie jest wokoło. Niech sobie ludzie obejrzą obrady Sejmu. Ja jestem poważnym człowiekiem, politykiem. W jakim to będzie programie?

– W 997, w rubryce „Poszukiwany".

SPECJALNIE DLA „ODGŁOSÓW"

Trzy minuty od prezydenta P.P.P.P.:

Wyborca powinien głosować na naszą partię dlatego, że jest to partia mająca w swoich szeregach ludzi bardzo mocno związanych z biznesem, którzy prowadzą swoje firmy i wiedzą jak przejść z mikroskali do makroskali. To znaczy, że realnie opierając się na swoich doświadczeniach gospodarczych wiedzą co trzeba zrobić, aby poprawić sytuację w Polsce. Wyznaczyć należy plan strategiczny rozwoju kraju i ten plan ściśle realizować. Poza tym nasza partia jest partią ludzi pogodnych, którzy chętnie pójdą z każdym na piwo i przedyskutują problemy. Nie skaczemy sobie do oczu. Uważamy, że wszystko możemy załatwić w sposób cywilizowany. Skazani jesteśmy na siebie, bo tu musimy żyć. Komuniści muszą egzystować obok skrajnych chadeków itd. ... Myślę, że jak każdy człowiek rozbieże się wieczorem przed lustrem i spojrzy jaką jest skomplikowaną albo i śmieszną naturą, owłosionym jakimś kadłubkiem, to może mieć do siebie więcej dystansu. Z takim dystansem podchodzi do życia, polityki i wszystkich zdarzeń.

Brakuje nam jednak dystansu wobec ustawy antyalkoholowej. Ta ustawa jest kretyństwem totalnym. Z tym kretyństwem będziemy sobie dawali radę. To jest naprawdę ustawa stymulująca alkoholizm. Głupi przepis powoduje przestępstwo.

Relacjonował:
Andrzej Arczewski

Mój ulubieniec? – Szczur!

Zauroczony pięknością a zarazem wdziękiem Kariny Wojciechowskiej, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby zbliżyć się do owej damy, chociażby pod pretekstem przeprowadzenia krótkiej rozmowy. Dlatego wybaczcie Państwo, że nie zapytałem ile ma lat, gdzie się urodziła czy też gdzie obecnie mieszka. Po pierwsze o wiek kobiety – jak obyczaj dobry każe – pytać nie należy. Po drugie – adresu do publicznej wiadomości podawać nie wolno.

– Jakie propozycje otrzymała Pani po wyborach Miss Polonia 1991?

– Było ich bardzo dużo – również matrymonialnych, zktórych nie skorzystałam. Ale przede wszystkim były to propozycje reklamowe.

Pod skrzydłem mężczyzny

– Z czym są związane Pani najbliższe plany?

– Wkrótce wyjeżdżam do Paryża, gdzie będę reklamowała rajstopy włoskie.

– W żurnalach mody paryskiej?

– Na razie jeszcze nie. Jest to dopiero okres mojej promocji. Myślę, że później ofert będzie wiele.

– Co zabiera Pani najwięcej czasu?

– Teraz zajmuję się głównie akcjami charytatywnymi na rzecz dzieci upośledzonych. Uważam, że w dzisiejszych czasach za mało uwagi poświęca się ludziom wymagającym specjalnej troski. Społeczeństwo ogranicza się tylko do przeznaczania niewielkich datków pieniężnych, a oni potrzebują także czegoś więcej prócz materialnej zapomogi.

– Tak źle ocenia Pani współczesne społeczeństwo?

– Daleko nam do ideału. Ludzie są okrutni nie tylko w stosunku do siebie. Szczególnie oburza mnie sposób, w jaki odnoszą się do zwierząt. Czy wie pan, że w schroniskach śląskich pies może pozostać tylko przez tydzień. Jeżeli w tym czasie nikt nie zainteresuje się jego losem, jest po prostu usypiany.

– Wiadomo, że Pani lubi zwierzęta. Czy ma Pani swoich ulubieńców?

– Tak, oczywiście. Są nimi dwa psy, kot, papuga i szczur.

– Powróćmy może do ludzi. Jaki jest Pani ideał mężczyzny?

– Mężczyzna powinien być dla kobiety ostoją, tym skrzydłem, pod które kobieta może schronić się podczas burzy. Powinna być to osoba bardzo silna, przede wszystkim psychicznie, aby mogła mnie w pewnych sytuacjach stresowych podnieść na duchu. Tego właśnie oczekuję od przyszłego męża.

– Taki jest Pani chłopak?

– Z nim mogę o wszystkim porozmawiać, wyjawić wszystkie tajemnice. Doskonale się z Jackiem rozumiemy. Chciałabym tylko, żeby wybrał bezpieczniejszy zawód – jest bowiem ratownikiem w kopalni i czasami się o niego boję.

– Pani niespełnione marzenia?

– Och, jest ich wiele. Sądzę jednak, że w miarę upływu czasu będą się spełniały. Na razie chciałabym studiować handel zagraniczny. Uważam, że posiadam maleńką żyłkę biznesu.

– Nie wątpię. Przecież prowadzi Pani wraz z Januszem Rewińskim Meeting Polskiej Partii Przyjaciół Piwa, do której, jak wiadomo, należą właśnie biznesmeni.

– Tak, ale w tym programie występuję jako debiutująca konferansjerka. Do tej pory ta praca mnie satysfakcjonuje. Teraz mam bliski kontakt z osobami, które wcześniej oglądałam jedynie na scenie teatru lub w telewizji, mogę się z nimi spotkać, porozmawiać prywatnie. Jest to bardzo interesujące. A na scenie jak zwykle odczuwam wielką tremę. Zawsze się boję i chcę wypaść jak najlepiej. Nie zawsze się to udaje.

– Życzę więc samych udanych występów. Dziękuję za rozmowę.

Karina Wojciechowska, Miss Polonia 1991
Fot: Cezary Pecold

Dzieci są głodne

Władze oświatowe liczą na... rolników

Od początku roku szkolnego do Polskiego Czerwonego Krzyża w Łodzi dociera coraz więcej informacji, że wielu uczniów szkół podstawowych głoduje.

Z listów podpisanych najczęściej przez komitety rodzicielskie, czy szkolne koła PCK wynika, że dzieci przychodzą do szkół głodne, bez drugiego śniadania, a dotyczy to głównie uczniów z rodzin biednych. PCK ocenia, że dzieci takich jest obecnie ponad 1000. Do organizacji zwróciło się już około 100 szkół z województwa łódzkiego z prośbą o pomoc w dofinansowaniu obiadów.

Kuratorium problem jest znany. Nikt jednak z jego pracowników nie jest w stanie podać ile dzieci problem ten dotyczy, choć to właśnie kuratorium powinno się tym interesować najbardziej, nawet jeżeli *„żywienie nie jest statutowym obowiązkiem szkoły"*.

„Problem nie jest nowy – mówi wizytator **Krzysztof Tomczak** – *oceniamy, że na skutek pogarszania warunków życia polskich rodzin jest on z pewnością coraz większy. Nie widzę jednak szczególnych powodów do alarmowania."*

Żadna ze szkół nie zwróciła się jak do tej pory do kuratorium z prośbą o pomoc w tej sprawie. Prawdopodobnie wynika to z tego, że kuratorium już dawno przestało być instytucją do rozwiązywania takich problemów, a stało się jedynie wykonawcą i „wdrożycielem" zaleceń MEN, bezwolnym ze względu na brak pieniędzy.

Na 194 szkoły, 168 posiada funkcjonujące kuchnie. Istnieją zatem możliwości, aby dożywiać w szkołach dzieci. Brakuje jednak na to funduszów.

Komitety rodzicielskie, decydujące ile pieniędzy z ich funduszu może być przeznaczonych na ten cel niejednokrotnie nie wyrażają na dożywienie zgody. W większości nie mają zresztą na to środków.

Kontrole szkół i badania spożycia obiadów szkolnych oraz mleka przez każdego ucznia, prowadzone przez Sanepid na przestrzeni 15 lat wykazują niebezpieczne tendencje. Praktycznie w latach 1976-90 liczba uczniów spożywających posiłki gotowane (lekarze i specjaliści od żywienia uważają, że to co podaje się w naszych stołówkach szkolnych trudno nazwać obiadami) spadła do 15,5 proc. Liczba uczniów pijących mleko w szkołach zmniejszyła się w tym okresie od 11,9 proc. Ma to oczywiście związek z kryzysami społeczno-ekonomicznymi.

Skutki niedożywienia ilościowego i jakościowego są ewidentne i udowodnione. Wielu z nich – zdaniem lekarzy – nie da się jeszcze przewidzieć. Badania prowadzone przez naukowców z Katedry Higieny AM w Łodzi wykazały, że w organizmach łódzkich dziesięciolatków zapotrzebowanie na wapń zaspokajane jest zaledwie w 50 proc., żelaza w 70 proc., magnezu 60 proc., cynku 30 proc., witaminy A i C w 40 proc. zalecanej normy. Na skutek tego u prawie 40 proc. dziewczynek występuje niedokrwistość. Znaczy odsetek dzieci ma niedobór wagi, skrzywienie kręgosłupa i próchnicę. U 40 proc. dzieci możemy mówić o niskorosłości.

Zdaniem naukowców z Katedry Higieny jest to nie tylko rezultatem niedojadania, ale także złego odżywiania dzieci, co spowodowane jest przede wszystkim brakiem wiedzy rodziców na temat racjonalnego żywienia i potrzeb organizmu dzieci w danym wieku, ponieważ także tanie produkty żywnościowe odpowiednio zestawiane mogą zaspokoić te potrzeby.

Dzieci w naszym kraju spożywają zbyt dużo słodyczy, mięsa i produktów zbożowych, a stanowczo za mało mleka i jego przetworów oraz warzyw.

Potrzeby bytowe dzieci, ich fizjologia i zdrowie wymagają także spożywania drugiego posiłku po trzech godzinach nauki. Niedopuszczalne jest, aby dzieci przychodziły do szkoły głodne i przez cały czas gdy w niej przebywają nic nie jadły, co coraz częściej ma właśnie miejsce w łódzkich szkołach (zaledwie 3-18 proc. dzieci przynosi do szkoły drugie śniadanie).

Problemowi niedożywienia dzieci poświęcona była ostatnio narada w Wydziale Infrastruktury Urzędu Wojewódzkiego, w której wzięli udział przedstawiciele Wojewódzkiej Stacji Sanepidu, Katedry Higieny AM, Wojewódzkiego Zespołu Opieki Społecznej oraz przedstawiciel Kurii. Jej owocem jest program współpracy między Kuratorium Oświaty i Wychowania a Wojewódzkim Zespołem Opieki Społecznej.

W wyniku ustaleń każde dziecko pochodzące z rodziny, w której dochód na jedną osobę nie przekracza 595 tys. zł objęte zostanie pomocą opieki społecznej. W pierwszym półroczu tego roku pomocą taką otoczone było 20 tys. łódzkich rodzin. Konieczne jest jednak – jak stwierdziła dyrektorka Wojewódzkiego Zespołu Opieki Społecznej **Krystyna Osada** – uzupełnienie środków przeznaczonych na te cele z innych źródeł. W szczególnie tragicznej sytuacji znajdują się bowiem dzieci i rodziny, w których dochód na jedną osobę wynosi 600-800 tys. zł, a którym zgodnie z ustawą nie można udzielić pomocy ze środków rządowych. W województwie łódzkim dotyczy to około 40 tys. rodzin. W związku z coraz większym bezrobociem liczba ich cały czas się powiększa.

Władze naszego miasta wystąpiły do Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej z programem zmian ustawy dotyczącej opieki społecznej, w szczególności o zmianę progu dochodów na jednego członka rodziny. Na razie jednak pomoc dla tych dzieci i rodzin – jak stwierdziła dyrektor Krystyna Osada – może pochodzić jedynie ze zbiórek charytatywnych.

Wojewódzki Zespół Opieki Społecznej i władze oświatowe liczą na sponsorów, w tym także na rolników, którzy finansowo bądź w naturze będą chcieli zasilić szkolne stołówki.

Beata Kostrzewska

Polacy nie muszą mieć kompleksów

Powrót z „dzikiego" Zachodu

Wprawdzie świat jest na tyle duży, że pensja nie dorównuje mu wielkością, jednak nawet średnio zamożnego Polaka stać dziś na krótki wypad zagraniczny. Najlepszym tego dowodem fakt, że w ciągu dziesięciu dni pokonałem dużym fiatem ponad 3500 km przecinając Niemcy, Holandię, Belgię Francję, zawadziłem o Luksemburg, nie mówiąc już o Czecho-Słowacji.

Polak, który nie wybrał się na handel ani w interesach, czyni pospieszne porównania. Na Zachodzie bez zmian, stanął mi w pamięci tytuł głośnej ongiś powieści Remarque'a. Po raz kolejny utwierdziłem się w przekonaniu, że to są wszysto bardzo biedne kraje, których mieszkańcy zmuszeni są do poniżających zabiegów: pracują od wczesnego ranka do późnego wieczora z krótką przerwą na posiłek. W niektórych z nich neopogaństwo doszło do tego stopnia zwyrodnienia, że zapomina się nagminnie o przykazaniu, aby dzień święty święcić. Na autostradach niemieckich praca wre nawet w niedzielę, a robota w sobotę uchodzi za coś zupełnie normalnego. W mieście Luksemburg w katedrze Najświętszeej Marii Panny widziałem na mszy niedzielnej kilkadziesiąt najwyżej osób, głównie zresztą jak i ja, turystów. Cóż, na Zachodzie nie zbiera się na tacę, podatnik deklaruje przynależność do odpowiedniego Kościoła i odprowadza ustawowe należności za pośrednictwem izby skarbowej. Religijnie wyalienowani wpłacają taką samą część zarobków do kasy gminy, którą zamieszkują.

Biedni ci ludzie Zachodu: nawet gospodynie domowe skrzętnie segregują butelki, papier i metalowe puszki wrzucając je do publicznych śmietników, byle tylko oszczędzić na wywózce odpadków z własnego mieszkania, za co firmy zajmujące się oczyszczaniem miasta każą sobie słono płacić. Sknerstwo klas średnich posunięte jest do tego stopnia, że nabywając nowy żyrandol np. z okazji zmiany mieszkania, niemiecki czy holenderski mieszczuch stara się pozbyć starego ogłaszając w gazecie domową wyprzedaż, byle zyskać tych kilkanaście marek czy gudenów. Dopływ gotówki z tego może i niewielki, jakaż jednak satysfakcja, że nie potrzeba czegoś wyrzucić na śmietnik, bo to już kosztuje dodatkowo.

Przybysza ze wschodu uderza, ale i boli, że hasła „Solidarności" wciąż są tu przytrzegane w kategoriach politycznych, z całkowitym pominięciem całej sfery praw pracowniczych. Jakże gorąco współczułem niemieckim listonoszom, na których barkach praktycznie spoczywa kolportaż gazet. Kioski z prasą (odpowiednik naszego „Ruchu") pratycznie nie istnieją, wszystko roznoszą po domach doręczyciele mając jedyną wyrękę w małych wózeczkach. A przypomnijmy, że jeden zachodni dziennik, nawet prowincjonalny, ma objętość większą niż wszystkie łódzkie gazety razem wzięte, jest więc co dźwigać. Dlaczegóż więc, jak u nas, listonsze nie zbuntują się tam i nie odmówią świadczenia upokarzających usług?

A mimo to poczta nie cieszy się tam chyba dobrą opinią, skoro każdy aparat telefoniczny zaopatrzony jest w licznik, który na bieżąco wyświetla ilość zarejestrowanych impulsów. Człowiek Zachodu, nawet gdy tego jawnie nie okazuje, jest widocznie z natury podejrzliwy, nie to co u nas, gdzie urząd telekomunikacji jest najwyższym autorytetem i nikogo to nie dziwi.

W ogóle urzędy na Zachodzie są chyba mało kompetentne. W największych miastach niemieckich widzi się stragany w samym centrum, na najbardziej reprezentacyjnych placach, podobne obrazki widywałem w Belgii i Holandii. Widać od razu, że brakuje tam ludzi energicznych, pokroju burmistrza śródmieścia Warszawy, który wzorem Hilarego Minca zlikwidował drobnicowy handel dając przykład Europie. Zastanawia więc dlaczego to my jeździmy na szkolenia samorządowe do krajów EWG zamiast upowszechniać własne wzorce i jeszcze na tym zarobić.

Podejrzewam zresztą, że mamy do czynienia z jakimś dużym szwindlem, który dopiero czeka na wykrycie przez jakiegoś redaktora Snopkiewicza. Nawet w kraju najtańszej na Zachodzie benzyny jakim jest Luksemburg kosztuje ona średnio o połowę drożej niż w Polsce, w stosunkowo tanich Niemczech za litr trzeba zapłacić ponad 10000 zł, gdzie indziej jeszcze więcej. Zupełnie także nie rozumiem skąd wzięły się u nas pogłoski o taniej na Zachodzie, dotowanej tam żywności. Taki chleb kosztuje z reguły cztery do sześciu razy więcej niż u nas w przeliczniku walutowym.

Wszelkie zakupy na Zachodzie są dla człowieka wrażliwego prawdziwą udręką. Za zawodowym uśmiechem ekspedientek, ćwiczonym chyba przed lustrem, kryje się głęboko skrywany strach przed zwolnieniem z pracy. Towary są zapewne marne, gdyż wymagają krzyczących opakowań i nabywane są przez tubylców niechętnie, pomimo umizgów sprzedawców. Zresztą ceny odstraszają. Kosmetyki w Polsce, takiej samej marki, są na ogół przynajmniej trzykrotnie tańsze, wyroby elektroniczne mają zbliżoną cenę, choć z reguły trzeba za nie zapłacić znacznie mniej. Pieniądze w kasie często przyjmuje Murzynka. Czyżby handel znalazł się tam w rękach czarnych?

Uderza także frajerstwo kierowców. Wprawdzie na autostradach samochody pędzą na złamanie karku, wystarczy jednak zasygnalizować zmianę pasa, a mimo szaleńczej szybkości wpuszczą cię przed siebie robiąc jeszcze uprzejmy gest ręką. Sądziłem zresztą początkowo, że czynią to z respektu dla Polski, która do niedawna była, bądź co bądź, drugim państwem Układu Warszawskiego, a więc w kategoriach wojskowych taką swoistą Wielką Brytanią. Ale bloku sowieckiego przecież już nie ma, a tubylcy równie uprzejmie zachowują się wobec siebie, nie da się więc tego wytłumaczyć w kategoriach politycznych i człowiek staje przed prawdziwą zagadką. Zachodnie cwaniactwo widoczne jest dopiero na autostradach francuskich, gdzie każą sobie płacić za samoprawo wjazdu na szosę, ale to raczej wyjątek, gdyż gdzie indziej można przejechać cały kraj bez żadnych opłat i nawet w toalecie nie wezmą od ciebie ani feniga.

Choć oczywiście przybysz ze Wschodu dostrzega wyraźnie, że kapitalizm gnije, a ściślej bankrutuje. W miastach niemieckich widzi się niemal tyle samo rowerów co samochodów, w Holandii cykliści mają nawet jakby optyczną przewagę. Po prostu wiocha, podobnie jak te stragany w wielkich miastach, nie mówiąc już o wiatrakach w północnych Niemczech jak i w całej niemal Holandii.

Reliktem cywilizacyjnego średniowiecza są także ulice prostytutek w wielkich niemieckich miastach. Takie panie lekkich obyczajów przesiadują w otwartych oknach, za które wysuwają wielkie, obwisłe piersi. Dowodzi to nie tyle tolerancji obyczajowej, co niekompetencji samorządowych urzędników, którzy nie wiedzą jak zlikwidować obrzydliwy proceder. U nas z tym problemem poradziłaby sobie zapewne raczkująca dopiero straż miejska robiąc jeden czy drugi nalot, tam władza udaje, że nie dostrzega zjawiska.

Toteż przybysz ze Wschodu oddycha wjeżdżając od strony Bawarii do Czecho-Słowacji. Tu widać wreszcie porządek, poczynając od talonów benzynowych kupowanych za twarde dewizy. W porównaniu z Polską Czechy sprawiają wrażenie bezbarwnych: brak kolorowych szyldów, handel rozpoczyna pracę jeszcze później niż u nas i wcześniej zamyka podwoje. Nawet słynne Vaclavske Namesti w Pradze ofertą towarową nie mogą równać się z Piotrkowską, tylko Hradczany są rzęsiście iluminowane i nocą sprawiają rzeczywiście ładny widok. Spróbujcie jednk wjechać wieczorem do nawet sporego miasteczka: nie spotkacie na ulicy ani jednego człowieka.

Toteż człowiek tęskni za Polską z jej cuchnącymi wychodkami, pijackim bełkotem i sklepami pełnymi zachodniej i azjatyckiej tandety.

Z naszymi kościołami pełnymi wiernych, z miastami, gdzie polikwidowano bazary, ze śmiertelnie nudnym programem telewizyjnym możemy zaoferować Europie same cnoty, które nie boją się żadnych krytyk. I wcale nie będę zdziwiony, gdy przybysze z Zachodu zaczną do nas przyjeżdżać po naukę: listonosze, ekspedientki, policjanci.

Stoi wielka szansa przed biurami podróży, muszą tylko śmielej oferować swoje usługi. Zwłaszcza, że papierosy są u nas za bezcen, a i hotele mimo wszystko tanie. Na fantazji nam przecież nie zbywa, a Polak wszystko potrafi.

Konrad Frejdlich

Dziwne, ale nikt mu nie zazdrości majątku

Pomysł na sklep w szklarni

1. Poprzednio przegrał. Nie miał zdjęcia z przewodniczącym. Nie popierał go żaden komitet. Uznał, że skoro dorobił się sporego majątku, to znaczy, że potrafi coś osiągnąć, a skoro potrafi na własny koszt, to może i dla dobra innych. Przyda im się. Obiecał nie zapomnieć, skąd pochodzi i dla kogo ma działać. Zdecydowali inaczej. Nie obraził się.

W przeddzień ogłoszenia wyników wyborów wydał bal. Zaprosił konkurentów. Przyszli niemal wszyscy. Dla jednych wyniki były korzystne, dla innych nie. Ale bawili się wspaniale. Bal się udał. Było go stać na wydanie takiego balu. Dziś już nie.

2. W Wieluniu ludzie go znają. Wiedzą, gdzie mieszka, co robi. Tu jego ojciec prowadził skład maszyn rolniczych. Potem zajął się rolnictwem, bo skład mu zlikwidowali. Uznany został za kułaka, więc on – syn kułaka – musiał odejść z wieluńskiego gimnazjum. Uczył się w szkole ogrodniczej, potem studiował sadownictwo. Gdy wrócił do Wielunia wyciął ojcu sad. Ojciec się zgodził. Założyli wtedy wielkie szklarnie. W Łodzi nikt nie miał wówczas tak wielkich i nowoczesnych szklarni. Stoją do dziś.

Czegóż to on się nie chwytał? Jak był popyt na tuczniki, jednej nocy zlikwidował kwiaty w szklarni i zaczął tam tuczyć świnie. Potem kwiaty wróciły na miejsce. Kiedy był popyt na buhaje dla Włochów, zbudował oborę. Teraz prowadzi hurtownię, buduje sklepy, ma skład maszyn rolniczych i nawozów. Ma projekty i pomysły.

– *Dlaczego nie koncentruje się na ogrodnictwie?* – powtarza pytanie. – *Z czystej kalkulacji. Najwyższy poziom w Europie w tej dziedzinie osiągnęli Holendrzy. Nikt ich nie dogoni. Próbowali Niemcy. Czy słyszała pani o niemieckim ogrodnictwie? Albo francuskim? Nie. Widzi pani. Holendrzy zniszczyli wszystkich, którzy próbowali im dorównać. Żeby osiągnąć ich poziom trzeba inwestować w skali miliarda złotych, a zysk z tego wyniósłby połowę. Czyli strata. Kogo na to stać?*

3. Nie załamuje wcale rąk. Właśnie wrócił ze Zduńskiej Woli, gdzie szuka lokalizacji dla centrum ogrodniczego. Ma to być wielki sklep ogrodniczy, samoobsługowy w wielkiej szklarni. Obok parking, bo do takiego sklepu trzeba przyjechać samochodem. Co tam będzie można kupić? Najróżniejsze rośliny do posadzenia na balkonie, w ogródku, na działce, drzewka, krzewy, rozsady, rośliny w doniczkach, nasiona, narzędzia ogrodnicze, nawozy, środki chemiczne. Wszystko dla tych, którzy lubią rośliny i mają je na oknie, balkonie, w ogródku, na działce. Będzie mała kawiarenka, gdzie można będzie odpocząć.

Dlaczego akurat w Zduńskiej Woli? To też wynika z kalkulacji. Sieradz, Zduńska Wola i Łask dają razem 140 000 ludzi. Takie centrum musi więc być położone gdzieś pośrodku. Dlatego Zduńska Wola. A i do Łodzi nie tak daleko. Sieradzkie ogrodnictwo powinno produkować też dla Łodzi.

– *Czy nie boi się pan ryzyka?* – pytam. – *Ludzie niestety biedniejq.*

– *Proszę pani. Każdy ma albo okno z kwiatami, albo balkon, wielu ma ogródki. Rośliny, to towar, na który zawsze jest popyt. To raz. A po drugie, to takie centrum zatrudni wiele różnych, małych przedsiębiorstw. Da więc ludziom pracę, da zarobić. A jak ludzie będą mieli pieniądze, to i będą kupować.*

4. Instytut ziemniaka. To była poważna sprawa. Budynki stoją. Laboratoria, sala konferencyjna, mieszkania dla pracowników. Założenie było proste. Ziemniaki wyradzają się i trzeba je nieustannie uszlachetniać. W USA na przykład sadzeniaki produkuje się w laboratoriach. Wystarczy przywieźć dwa ziemniaki nowej odmiany, a w takim laboratorium można przygotować z dwie tony sadzeniaków. Takie sadzeniaki przekazuje się wyspecjalizowanym gospodarstwom i one przygotowują sadzeniaki przeznaczone już dla rolników. W ten sposób rolnictwo może mieć stale nowe, genetycznie czyste odmiany ziemniaków. Wszystko było już przygotowane, ale w 1989 roku przestało to kogokolwiek obchodzić. Instytut ziemniaka w Wieluniu wymagał bowiem dotacji państwowych. Pożytek z tego byłby ogromny. Budynki stoją.W części powstała hurtownia. Reszta do wynajęcia. A my jemy coraz gorsze ziemniaki. Maluczko, a będziemy jedli ziemniaki pastewne, choć właściwie już takie jemy. Degradacja jest nieuchronna.

5. Inny poważny pomysł, to giełdy rolne. Prace też były przygotowywane i też wszystko upadło. Pomysł był taki. Stworzyć przedsiębiorstwo, które sterowałoby rozwojem rolnictwa w danym rejonie. Prowadziłoby badania, określało, co i gdzie powinno się uprawiać. Dostarczało nasiona oraz rozsady wysokiej i potrzebnej dla danego rodzaju gleby jakości. Odbieraloby od rolników plony i je udoskonalało poprzez odpowiednie pakowanie, etykietowanie, przetwarzanie, przechowywanie. To byłoby wielkie przedsiębiorstwo, które dałoby jednocześnie pracę wielu małym spółkom, spółdzielniom, zakładom rzemieślniczym, a jednocześnie – co jest najważniejsze – sterowałoby rozwojem rolnictwa i rozwojem eksportu. Dziś pomysł wydaje się nierealny, ale pomysłodawca jest głęboko przekonany, że jeśli polskie rolnictwo ma się rozwijać, to takie giełdy są konieczne i muszą powstać.

– *Proszę pani* – przekonuje mnie, – *Mamy 5 lat na taki rozwój rolnictwa, aby mogło ono wytrzymać obcą konkurencję. Przez te 5 lat Ukraina dokona niezbędnych zmian i będzie w stanie opanować rynki Rosji. Jeśli tego nie zrozumiemy, to pogrzebiemy nasze rolnictwo.*

6. Zmiany, jakie dokonują się na wsi, są szansą dla takich miast, jak na przykład Wieluń. Upadły GS i to daje możliwość powstania w Wieluniu domów towarowych, sklepów, hoteli, restauracji, kawiarenek, różnego rodzaju usług. Władze miasta powinny takim procesem sterować, pomagać w tworzeniu takich placówek, które ich zdaniem są potrzebne, hamować powstawanie innych, których jest już dostatecznie dużo.

– *Ale chłop jest biedny, kto to będzie kupował?* – próbuję oponować.

– *Zgadza się!* – odpowiada. – *Sam notuję spadek obrotów do 25 procent, ale zawsze tak nie będzie. Potrzeba inicjatyw, pomysłów i uporu. Trzeba myśleć o przyszłości, szukać nowych rozwiązań, nie można ciągle czekać, że ktoś przyjdzie i za nas zrobi, bo tak nie będzie.*

7. ANDRZEJA PĄGOWSKIEGO znają w Wieluniu i ludzie mu bogactwa nie zazdroszczą, bo uważają, że to, co ma, zarobił uczciwie i to mu się należy. Postanowił zatem kandydować na senatora. Dlaczego akurat na senatora?

– *Bo senator może wiele zrobić dla Wielunia, więcej niż poseł* – odpowiada.

Uważa też, że w Wieluniu kto go zna, to będzie na niego głosował, a kto jest mu przeciwny, to i tak go nie przekona. Kupuje więc miejsce w gazetach sieradzkich i w Zduńskiej Woli i tam prezentuje swoje poglądy. W taki sposób szuka poparcia. Czy je zdobędzie?

ANDRZEJA PĄGOWSKIEGO przedstawiłam nie dlatego, że kandyduje na senatora, ale dlatego, że jest to człowiek fascynujący. Nie biadoli, nie poddaje się trudnościom, robi swoje. Cieszę się, że go poznałam.

Bogda Madej

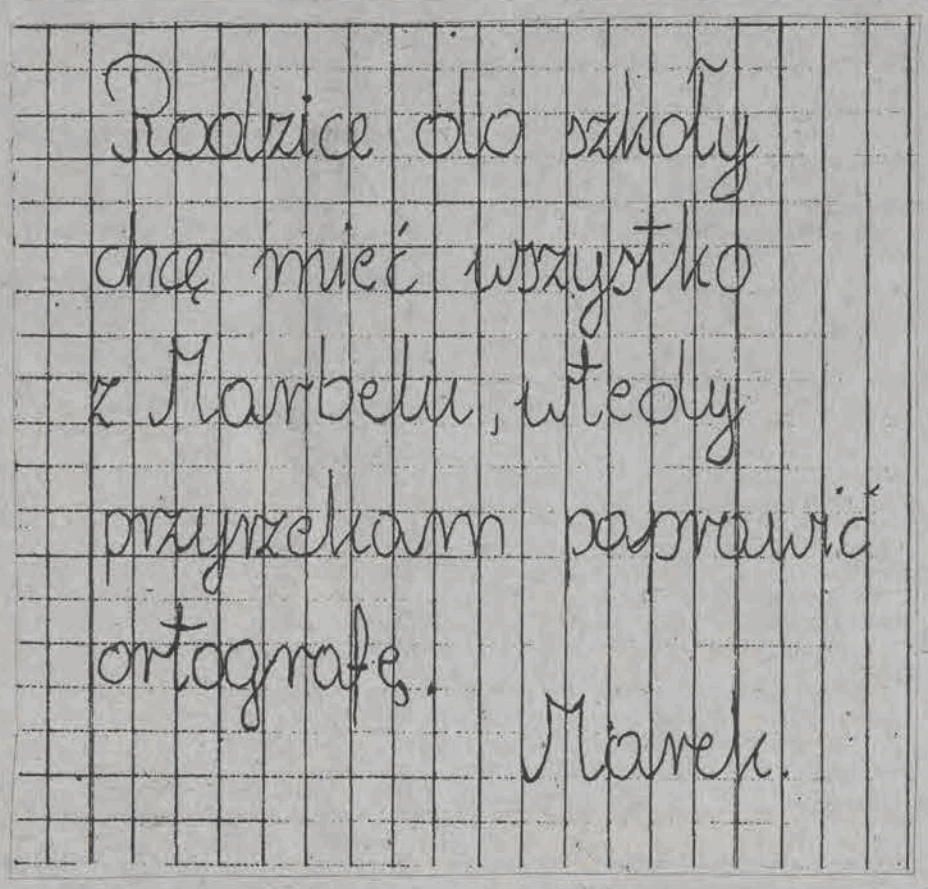

Wszystko do szkoły i do zabawy

Marbel

Łódź, ul. Brukowa 6/8
tel. 51-23-18 w. 91
51-27-95

Dlaczego ożeniłem się z kobietą o tyle lat starszą?

Kawał soczystej szyny

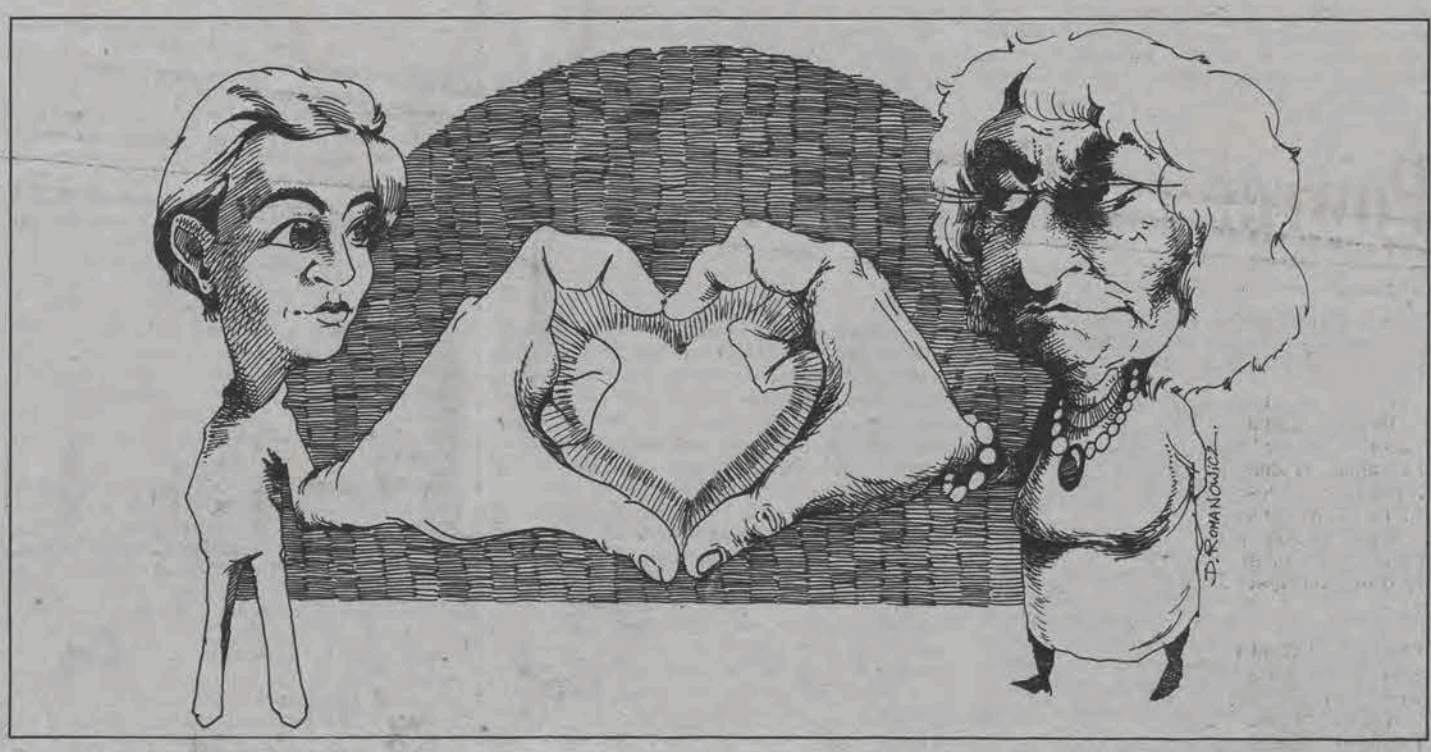

Rys. Dariusz Romanowicz

Coś pani powiem na początek. To było tak: postanowiliśmy z żoną zatrudnić zarządzającą domem. Taką facetkę, co by miała prezencję, znała się na dobrej kuchni, nie była zwykłą chamką ani jakimś garkotłukiem. Bo takie dwie to my mamy. Jedna gotuje, a druga sprząta. Ma się czego nasprzątać, bo nasz dom jest duży. Osiem pokoi, proszę pani. Trzy łazienki. Tak, bardzo, bardzo piękny dom.

Ale my już kończymy budować drugi. Ten drugi będzie jeszcze większy. I z basenem. Z kortem tenisowym. Może nawet z polem golfowym, żona się jeszcze nie zdecydowała. Ale pewno tak. Pewno i to pole golfowe będzie, bo tak teraz uchodzi. Należy mieć. Żeby człowiek nie musiał świecić oczami przed tymi wszystkimi, co już mają. No i przed tymi, co przyjeżdżają do człowieka z zagranicy. Niech nie myślą, za przeproszeniem, że tu u nas ciągle się chodzi srać za stodołę.

Tak. Basen, kort i golf. Miejsca starczy. Żona kupiła piękny teren. Kilkanaście hektarów. Z lasem. Sadzawki założy, i stawy. Rzeźby poustawia. Tak. Ma to wszystko wyrysowane przez takiego jednego architekta od zieleni i innych tam takich szykan.

W tej sytuacji, normalka, służbę koniecznie powiększyć. Ogrodnik na stałe, nie obejdzie się bez ogrodnika. Goryl na stałe, mus, no nie? Kucharce należy się pomoc kuchenna. Ta druga do sprzątania sama też nie wystarczy. Pokojówka musi być, zrozumiałe, nie? To i ta zarządzająca domem.

Kierowca to nie. Niepotrzebny. Ja jestem ciągle za kierowcę.

Nie uważam, aby moją żonę miał wozić jakiś tam inny pacan.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże, no nie?

To daliśmy ogłoszenie do gazet. Telefon, powiadam, urywał się wprost. Żona osobiście przyjmowała. Kilka szybkich pytanek i po ptakach, won, gdzie się to taka pcha. Tu przecież nie chodzi o jakąś zwykłą służącą. Chociaż, oczywiście, to też będzie służąca, ale taka lepsza. Nawet bardzo dobra ma być.

Więc większość zgłaszających odpadła w pierwszej przymiarce. Zostały do osobistego sprawdzenia tylko dwie.

Pojechaliśmy do pierwszej. Otwiera nam drzwi. Wchodzimy. Kobitka na pierwszy rzut oka niczego sobie. Ani stara, ani młoda. Ani ładna, ani brzydka. No i taka właśnie ma być. Nie rzucająca się w oczy.

Jest zadbana. Ubrana całkiem nieźle. Ogólna prezentacja bez zarzutu.

Korytarz u niej w boazerii. Z takimi różnymi bajerami. Wykładzina dywanowa. I pies się łasi. Nie jakiś byle kundel. Rasowy, Dalmatyńczyk. Znam się, Żona chciała kupić właśnie dalmatyńczyka. Ładnie by wyglądał na tle naszych kremowobiałych mebli w salonie. Ale ostatecznie kupiła doga arlekina.

To ta tu prosi nas dalej. Uprzejmie się wyraża. Mowa u niej taka, że od razu widać, że kształcona. A nam chodzi dokładnie i o to, aby nasza zarządzająca była na odpowiednim poziomie. Żeby umiała się zachować, poruszać, wiedzieć, jaki kieliszek do szampana, a jaki do koniaczku. Żeby nawet umiała wypowiedzieć z dobrym akcentem chociaż How are you? Takie mamy wymagania. A co! Żonę stać, ma za co mieć wymagania.

Dobra. Włazimy dalej, do pokoju. Ładny pokój. Pierwsze, co rzuca się w oczy to to, że największa ściana cała założona książkami. Będzie ich tu z tysiąc, albo i lepiej.

A na pozostałych ścianach obrazy. Jedne widać, że stare. Ramy mają bardzo dekoracyjne. Z tych starych ram patrzą na nas różne babki i facety. Jeden gość siedzi na koniu, szablę ma przy boku. O, cholera. Jakaś rodowodowa ona, ta kandydatka, i bardzo kształcona, po tych książkach widać.

Są i inne obrazy. Bo dużo tego, naćkane nimi. Ale te inne, to takie nowoczesne. Bohomazy, jednym słowem. Obojętne, czy patrzeć na nie z boku czy od góry, i tak nie poznasz, co na nich namazane. Żona to nawet sporo też takich nakupowała. Mówi, że nie, skąd, nie podobają się jej, wcale a wcale, ale wszyscy kupują, tak trzeba, taka moda.

Widzę po swojej żonie, że ma zadowoloną minę. Podoba się jej kandydatka.

Niech się pani nie niecierpliwi. Mówię o tym tak szczegółowo, bo to jest wszystko ważne. Zaraz przekona się pani i wyrozumie sama, dlaczego.

To powracając do tego pokoju, w którym siedzimy, widać też od razu, że tę naszą kandydatkę życie fest przycisnęło. Futrzak na tapczanie, ale wytarty. Dywan na całą podłogę, ale zdeptany do osnowy. Fotele antyki, ale sprężyny wyłażą przez obicia. Telewizorek to w ogóle przedpotopowy, czarno-biały. Wszystko tu stare, zużyte, od dawna nie naprawiane. Nic nowego. Sam szmelc.

Siedzimy, patrzymy. My na nią, a ona na nas. Na moją żonę patrzy, potem na mnie patrzy. I znowu na moją żonę, a potem zaraz znowu na mnie. Patrzy, a na jej twarzy pojawia się ten wyraz. O, znam ja go dobrze. Dużo ludzi nie z naszego środowiska tak właśnie na nas patrzy. Z takim wyrazem, nad którym mimo oglady nie potrafią zapanować.

I jest to ten wyraz, który mówi

o, Jezu, taki młody z taką starą.

I mówi też: o, Jezu, i jak może z taką starą? Staje mu?

Czemu się pani płoszy, czerwieni, pani redaktor? Przecież ja nie o pani wyrazie twarzy, skądże.

Ta-ak. No i jeszcze jest wiele innych różnych rzeczy w tym patrzeniu, w tym wyrazie twarzy. Litość jest. Współczucie jest. Pogarda jest. Potępienie. A przede wszystkim to to poczucie własnej godności. Takiej wielkiej, wielkiej godności. Takiej, która każe myśleć: o, Jezu, ja to przenigdy, na coś takiego. Za żadne pieniądze. Ja nie.

No i wie pani, co jeszcze jest w takim patrzeniu?

Eee, nie uwierzę, żeby pani nie wiedziała? Ale skoro nie, to ja pani powiem.

W tym patrzeniu to jest jeszcze jedna wielka świńska ciekawość. Która wyraża się wielkim, kurewskim zdumieniem że, o, Jezu, a jak on to z nią robi?

I ta damulka, chociaż miała w tym swoim pokoju rodowodowe portrety w starych ramach, i książek tyle, że mogłaby wypożyczalnię prywatną urządzić, tego swego kurewsko-świńskiego wyrazu twarzy nie zdołała ani przesłonić, ani ukryć, ani cokolwiek z nim zrobić.

To ja żuję gumę, żuję i myślę. Poczekaj ty franco, myślę, która uważasz, że masz prawo do takiego patrzenia. Do tego swego kurewskiego patrzenia, którym szacujesz mnie i moją żonę, zadając sobie to pytanie, że o Jezu, a dlaczego? i za ile? Która widzisz w nas, we mnie i w mojej żonie, samo świństwo, dno, nic więcej. I która się zdumiewasz, że człowiek może tak upaść. Żeby płacić za wygibasy w łóżku. Lub żeby te wygibasy uprawiać za szmal.

Żuję i myślę dalej: że ty, franco jedna, wyobrażasz sobie, żeś lepsza? Że jakbyś miała taki szmal co moja żona, i pracujące całą parą hormony, nigdy nie stoczyłabyś się tak nisko, żeby kupować sobie młodego byczka? Zaobrączkowałabyś to sobie, zamurowałabyś, ale żeby takiego, to skąd, a fe, jakie obrzydliwe, chcieć uprawiać seks w starszym wieku.

Dobra, kij ci w ryj. Przypatrzymy my się teraz tobie. Dowiemy się pomalutku, jaka ty jesteś naprawdę. Co tam ukrywasz pod tymi swoimi szmatkami? Pod tym uprzejmym głosem? Pod tymi manierami rodowodowymi? Ciekawostka, nie? co ciebie skłoniło, żeby nam złożyć swoją ofertę. Aż taka głupia ty nie jesteś, wiesz, co się za ofertą kryje. A kryje się: tak jest, proszę pana! Słucham, proszę pani? Oczywiście, wszystko tak, jak państwo sobie życzą.

No, kochaniutka, zaraz zobaczymy, o ile ty od nas jesteś lepsza.

Dobra. Moja żona zaczyna przepytywankę.

Żuję gumę. Przyglądam się. Obserwuję.

Pytania mojej żony są proste. Pierwsze brzmi: uczciwie, nie powinna hańbić. Nawet ta, jaką właśnie jest skłonna u nas podjąć.

O, nie, nie! moja paniusiu. Nie z nami taka gadka-szmatka. Ani nie z moją żoną. Właśnie się obrusza. Mówi: Skoro pani nie ma zamiaru odpowiadać na moje pytania, to się pożegnamy. Widać nie zależy pani na pracy.

Ależ zależy. Jednak są pewne sprawy, pewne kwestie, zaczyna nasza kandydatka gadkę, żona ucina. Mówi: Żadnych kwestii, żadnych spraw, w które ja, pracodawczyni nie mogłabym mieć wglądu. Płacę dużo. Wymagam dokładnie za tyle, ile płacę. Za pięć milionów miesięcznie mam prawo do wszystkiego. Kupuję panią. Pani czas. Pani sprawy. Pani życie. Nie zechce pani, znajdę sto innych na pani miejsce.

Oczy naszej kandydatki trzepoczą. Zasłaniają się powiekami na moment, a kiedy już z powrotem na nas patrzą, patrzą oczami wiernego, podchlebiającego się psa.

Ile? pyta nasza kandydatka, przełyka ślinę. Ile?

A jej oczy psieją coraz bardziej.

Pokorne się robią. Śliniące się. Spodziewały się zaledwie marnej kaszany, a tu pokazują tęgi kawał soczystej szyny.

Pięć milionów. Zatrudnienie od zaraz. Próbne. I nie na dochodne. Z mieszkaniem u nas. Dyspozycja pełna przez dwadzieścia cztery godziny. Ubranie od nas. Odpowiednie i podkreślające funkcję zarządzającej domem. Wyżywienie. Wychodne raz na dwa tygodnie. O ile, oczywiście, ja i mój mąż podejmiemy decyzję o zatrudnieniu pani.

Mój mąż. To ja. No proszę, teraz te psie oczy patrzą na mnie. O i jak ładnie merdająco patrzą. Kurwa mać, a gdybym zasunął tak: no dobra, paniusiu kochana, ale proszę mi tu spódnicę zadrzeć, kolana pokazać? Albo kazałbym jej usta otworzyć, czy zęby ma bez dziur, bo za pięć baniek miesięcznie, pełne żarcie i inne wygody bez ograniczeń z ust ma mieć zapach fiołkami pachnący? Za pięć baniek to chuch powinien być na poziomie, co nie?

No dobra. A co mi tam. Co się będę znęcał. Żuję gumę. Obserwuję.

A moja żona pytanie za pytaniem.

Nasza kandydatka przycichła. Już się nie unosi honorem. Odpowiada posłusznie, a jak się stara odpowiadając.

Bo koniecznie chce dostać ten wielki kawał soczystej szyny. Od nas. Od tych samych, którymi niedawno jeszcze gardziła. O których myślała, że, o Jezu to, o Jezu tamto.

Plamy na policzkach, szyi krwiste. Niczym befsztyk, takie czerwone. Usta drżą. Rączki dygocą. Ale oczy psie ciągle, uległe. Nie ma już teraz „żadnych spraw, żadnych kwestii" – wszystko jest do pokazania.

Cała jej bieda. Jej zasrany człowieczy los.

Nie muszę mówić, żeby pokazała zęby, czy nie cuchną. Sama z własnej nieprzymuszonej woli pokazuje. Proszę, patrzcie, patrzcie, jakie mam akuratne zęby. Proszę, a oto moja dusza. Ona też wasza, Sprzedam ją wam za te pięć baniek. Sprzedam, bo mi życie nie zostawiło wyboru.

No i dobra, moja pani. O to chodziło. Żebyś nie udawała lepszej niż jesteś.

Jesteś dokładnie taka sama jak ja. Ja też się sprzedałem, nie ukrywam. Dobrze mi płacą. Więc morda w kubeł i nie narzekać. I nie udawać kogoś innego. Jestem tym kim jestem. Facetem, kupionym przez starą, dzianą babę. Obiecałem jej lojalność. Jestem lojalny. I to jest cała moja godność. Ta- ak.

Innej nie mam.

Bo każdy jest taki sam.

Każdego można kupić.

Szkopuł w tym, że nie każdy ma takiego farta, żeby spotkać w swoim życiu odpowiednio dzianego kupca, który by dał dobrą, uczciwą cenę.

Cena mojej żony za mnie była uczciwa.

Nasza cena, pięć baniek dla zarządzającej jest też uczciwa.

A tak, na marginesie, ile pani zarabia w tej swojej gazecie, pani redaktor?

Nie powie pani? Nie to nie. Ale założę się, że pani nie trafiła dotąd na tego, co by za panią dał uczciwą cenę.

I to by było na tyle. Żeby odpowiedzieć na pani, kurewskie za przeproszeniem, pytanie: dlaczego ożeniłem się z kobietą o tyle lat starszą.

Wyrozumiała pani, o co mi chodziło? Czemu opowiadałem o tej naszej zarządzającej?

Tak, oczywiście zatrudniliśmy ją. Ona jedna była na odpowiednim poziomie. Jesteśmy z niej zadowoleni. Bardzo się stara.

Nie ma wyboru. Zawsze może wrócić do swojej poprzedniej roli. Rodowodowej inteligentki, nie mającej z czego zapłacić komornego. Jej historia jest prosta, nic ciekawego, takich historyjek na tuziny. Ot, kiedyś się jej wiodło, miała męża, plastyka właśnie, tego od tych bohomazów. Dwie córki. Potem mąż zachorował. Trzeba się było wyprzedawać. Potem skończył się peerel. Miała jakieś takie uniwerki pokończone, coś na „logia" się kończyło, mniejsza z tym, co, grunt, że ta cała „logia" już nikomu niepotrzebna. Po roku pracy jako „olog" - zwolnili ją. Zabrała się za chałupnictwo. Ciężko. Dwie córki. Jedna na uniwerku, a druga w innym mieście, na malarstwie. Chałupnictwo też się urwało. Ot, i wszystko.

Chociaż nie. Nie wszystko.

Bo ta nasza zarządzająca miała fart. Jej fartem jesteśmy my. Że chcieliśmy ją kupić.

Lucyna Grobelna

Film, którego nie ma

„Oglądaliśmy 21 obrazów, po każdej projekcji ciężko wzdychając"

Świat jest pełen głupoty, idiotyzmu i absurdu. To zdanie, wypowiedziane przez Krzysztofa Kieślowskiego po pokazie jego najnowszego filmu pt. *„Podwójne życie Weroniki"* w pewien sposób charakteryzuje imprezę pod nazwą XVI Festiwal Polskich Filmów Fabularnych, jaka odbyła się w Gdyni w dniach 16-21 września. Niemal tydzień trwało usilne przekonywanie, że takie zjawisko jak film polski jeszcze istnieje. Na podstawie prezentowanych w konkursie filmów raczej trudno było w to uwierzyć.

Organizatorzy zapewnili widzom tylko dwie (pozakonkursowe) projekcje filmowe obrazów, które w pewnym sensie można nazwać polskimi. Piszę w pewnym sensie, bo filmów tych nie wyprodukowała rodzima kinematografia: są one w całości produktem zachodnim. Ich związek z krajem jest taki, że podpisane są polskimi nazwiskami. Mam tu na myśli absolutnie genialny film Agnieszki Holland pt. *„Europa, Europa"* i fascynujący, zjawiskowy obraz Andrzeja Żuławskiego zatytułowany *„Błękitna nuta"*.

O obu tych filmach można dyskutować długo, namiętnie i całymi godzinami. Tylko po co? Mówiąc najkrócej – Holland i Żuławski udowodnili, że język filmu i jego warsztat nie mają przed nimi absolutnie żadnych tajemnic. Operowanie skrótem, symbolem, metaforą jest dla obojga artystów czymś więcej niż tylko wypowiedzią. Niezwykle uwidocznione jest to zwłaszcza w *„Błękitnej nucie"*, która opowiadając epizod z życia Fryderyka Chopina i George Sand staje się pretekstem, by dać obraz pojmowania sztuki i życia przez dwie osobowości, przez dwa narody. Lekkomyślność, rozmach, tworzenie – niejako „przy okazji", remont domu nie przeszkadzający w funkcjonowaniu i przyjęciach, kuchnia bez służby i polskie, narodowe kompleksy, wizje zwiastujące wydarzenia i teatr marionetek antycypujący przyszłość – złożyły się na film gęsty, wieloznaczny i trudny.

Nieco inaczej jest w przypadku *„Europy, Europy"*, w którym A. Holland dokumentuje tezę o irracjonalności totalitaryzmu i doświadczeniach, jakie niesie ze sobą samotność. W realistyczną, niemal przezroczystą formę tego filmu (A. Holland powiedziała, że jest on opowieścią komiksowo-epicką) wplecione zostały wizje, oniryczne sny, a także elementy groteski i humoru. Michael Sragow w „San Francisco Examiner" napisał: *„Jest to pierwszy film dotyczący Holocaustu, który równocześnie łaskocze pod pachami i chwyta za gardło"*. *„Europa, Europa"* to z pewnością najlepszy film Agnieszki Holland.

Prócz tych dwóch filmów obejrzeliśmy jeszcze w Gdyni, poza konkursem, *„Ferdydurke"* Jerzego Skolimowskiego, film w którym z Gombrowiczowskiego klimatu pozostało bardzo niewiele i najnowsze dzieło młodego weterana, przewodniczącego tegorocznego jury – Ryszarda Bugajskiego, *„Clearcut"* – opowiedział historię nijak związaną z kulturą europejską. Okazało się, że dywagacje o złym i dobrym Indianinie, i złym i dobrym białym, przestały już nas interesować. Nawet umieszczenie akcji we współczesnej, pięknej (co widać na bardzo dobrych zdjęciach Francoisa Protat) Kanadzie nie poruszyło widowni. Jeden z widzów wyraził się nawet, że obejrzeliśmy film stricte ekologiczny i muszę przyznać, że nie pozbawiona sensu była to uwaga.

Ale pora już powrócić do samego konkursu. W szranki po Złote Lwy stanęło 21 filmów wyprodukowanych na przełomie festiwal'90/festiwal'91. Aby impreza miała charakter bardziej światowy – metodą podobną do „oskarowej" (ale niezupełnie) – wytypowano nominantów. Do głównej nagrody było ich pięciu, do pozostałych – po trzy. Jury nominujące przekazało paleczkę (niezbyt zresztą zgrabnie) jury ostatecznie wyrokującemu.

Przez kolejne pięć dni oglądaliśmy tych 21 filmów (nie wszystkie wyposażone w nominacje), po każdej projekcji ciężko wzdychając. Najtrudniej było przeżyć zawód, jaki sprawili wielcy znani i uznani. Rozczarował Feliks Falk i jego *„Koniec gry"*, a w nim Anna Romantowska, od lat tak samo wspaniale wyglądająca i od lat tak samo... grająca. Rozczarował Piotr Szulkin, po którego *„Feminie"* być może zbyt wiele sobie obiecywałem, ale upoważnił mnie do tego swoimi poprzednimi filmami. Jednak największe „bum" zrobiły *„Panny i wdowy"* Janusza Zaorskiego. Po pierwsze – utkane zbyt grubą nitką, po drugie – nafaszerowane błędami obsadowymi. By nie być gołosłownym, podeprę się przykładami: Katarzyna Figura gra 16 lat starszą siostrę Ewy Dałkowskiej, a Joanna Szczepkowska jest filmową córką Marii Gładkowskiej. Po trzecie wreszcie „Panny i wdowy" okraszone są scenami zupełnie nie a'propos, a wywołującymi niepotrzebny śmiech widowni: dlaczego zesłaniec (W. Wysocki) raczej kochliwy w kierunku hetero chce nagle całować innego mężczyznę? Kabaret OT.TO położyłby na to wszystko jeszcze zasmażkę.

A w ogóle proszę państwa, z tym całowaniem i plciami to się w tym z przeproszeniem polskim kinie namieszało. W filmie Wojtka Biedronia pt. *„In flagranti"* bez przerwy całują się (i nie tylko) dwie kobiety. Sekunduje im w tym dzielnie jeden mężczyzna, raz to rozbijając parę, innym razem tworząc trójkąt. Wszystko to w rajskich dekoracjach Zofii de Innes Lewczuk. Ale niech się nikt nie nastawia na „momenty": kamera Dariusza Panasa ślizga się po obiektach bardzo umiejętnie. Odrobinę zawiodła natomiast kamera Jarosława Szody, który robił co mógł, by ochronić od upadku *„Śmierć dzieciorobа"*. Za film ten, po wielekroć nominowany, otrzymał nagrodę specjalną Wojciech Nowak. Człowiek to miły, spokojny i serdeczny, a w programie festiwalowym napisał: *„Był taki moment w moim życiu, na długo przed zrobieniem tego filmu, kiedy jedyną emocją, jaka łączyła mnie z rzeczywistością, była nienawiść. Do tej pory nie było większego problemu w moim życiu. Wydaje mi się, że mój film był próbą jego rozwiązania"*. Mam szczerą nadzieję, że reżyser Nowak rozwiązał swój problem, i że następny jego film wyrośnie z bardziej szlachetnych uczuć, co wpłynie być może na jego poziom. Bohater *„Śmierci dzieciorobа"*, mający na swym koncie gromadkę nieślubnych dzieci i kilka przestępstw, tak długo broni swej wolności (chodzi o ożenek), aż się topi. Reżyser niejako staje po stronie swego bohatera i razem z nim tej wolności broni. Ale, przepraszam, czyjej wolności? przestępcy, jebaki i kabotyna? I do tego jeszcze dorzucone SB, kartki na mięso, magnetowidy i garnitury po nieboszczykach (kłania się „zasmażka"). Coś przedziwnego!

Nie najlepiej oglądało się też *„Kuchnię polską"* Jacka Bromskiego, choć trzeba przyznać, że scenariusz był bardzo interesujący, a obsada – Janda plus Kolberger – nie zawiodła. Dzięki grze tych dwojga – kasa murowana. Podobnie będzie się miało z *„VIP-em"* Juliusza Machulskiego, ale z przykrością muszę przyznać, że jest to najsłabszy film tego reżysera. Ale... jak mówi przysłowie – na bezrybiu i rak ryba.

Najbardziej jednak rozczarował mnie Andrzej Barański i jego *„Nad rzeką, której nie ma"*. Klimat niby jego, aktorzy niby grają dobrze (doskonale Ada Biedrzyńska), a wszystko jakoś nie tak. Może zawiniły drewniane, nienaturalne dialogi? Za to niemal całkowicie ich pozbawione są *„Diabły, diabły"* Doroty Kędzierzawskiej. W tym wypadku zabieg ten niczemu nie pomógł. Nawiedzonym, i tym, którzy niczego nie zrozumieli film się podobał – bo przecież nie wypadało inaczej. Pozostali pogwizdywali pod nosem.

Entuzjastyczną wrzawą natomiast można nazwać przyjęcie z jakim spotkał się Artur Żmijewski, który w całkiem niezłym kryminale Wojciecha Wójcika pt. *„Trzy dni bez wyroku"* zagrał rolę skonstruowaną rzec można precedensowo. Otóż „Mruk", kryminalista, jest szalenie miłym, wrażliwym i delikatnym człowiekiem. I to nie są pozory, to nie jest tylko powierzchowność. Żmijewski zagrał na miarę Bergmanowskiego psychologizmu; postać przezeń stworzona góruje nad całością. Ten młody aktor ma przed sobą wspaniałą przyszłość i wydaje mi się, że nie przesadzę, jeśli powiem, że jest jednym z najlepszych wśród młodego pokolenia. Podobne emocje towarzyszyły projekcji filmu pt. *„Jeszcze tylko ten las"* w reżyserii Jana Łomnickiego. Osobowość Ryszardy Hanin (Złote Lwy za pierwszoplanową rolę kobiecą) zbudowała ten film od początku, do tragicznego końca. To wielka, oscarowa rola.

Za pierwszoplanową rolę męską otrzymał nagrodę Adam Ferency grający w filmie Tomasza Wiszniewskiego pt. *„Kanalia"*. Muszę przyznać, że widziałem już lepsze kreacje tego aktora, toteż z dużą radością przyjąłem wiadomość o przyznaniu specjalnej nagrody Bogusławowi Lindzie za role w filmach *„In flagranti"*, *„Kanalia"* i *„Kroll"*.

No właśnie, *„Kroll"*. Niewątpliwie najciekawszy z prezentowanych, doskonale sfotografowany (Złote Lwy dla Pawła Edelmana) i zmontowany, interesująco zilustrowany muzycznie. *„Kroll"* – bardzo dobrze wyreżyserowany przez debiutującego Władysława Pasikowskiego (Złote Lwy za najlepszy debiut reżyserski) i świetnie zagrany przez wspomnianego B. Lindę i objawienie tegorocznego festiwalu – Cezarego Pazurę (Złote Lwy za drugoplanową rolę męską). Szkoda wielka, że pewne, niewielkie co prawda, mielizny scenariusza i prawdziwie barokowa struktura zakończenia, oraz fakt, że mimo wszystko jest to jednak kino imitacyjne, wykluczyły możliwość sięgnięcia po Grand Prix.

No i właśnie! Bomba wybuchła w chwili, gdy Ryszard Bugajski, trzymając swobodnie, po amerykańsku, rękę w kieszeni, odczytał wyrok, przepraszam, werdykt jury. **„Złotych Lwów za najlepszy film nie przyznano"**. Mój znajomy krytyk napisał potem, że był to strzał w tył głowy polskiej kinematografii. To prawda, ale z drugiej strony, czyż nie dobija się koni?

Michał Lenarciński

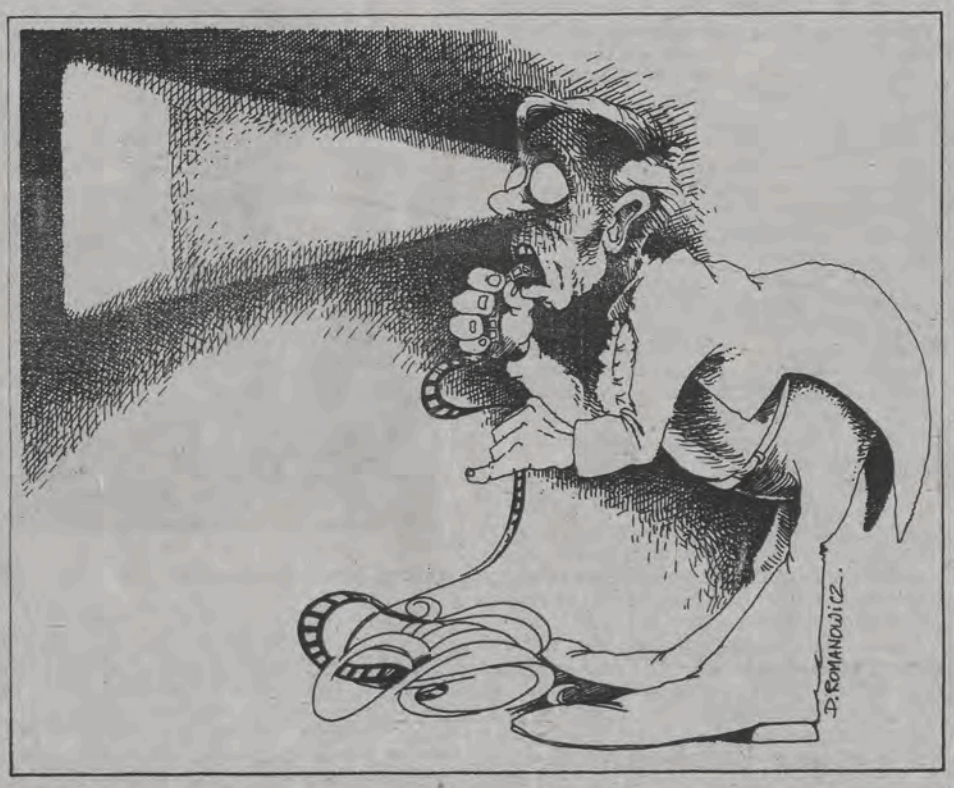

Rys. Dariusz Romanowicz

Zostań Geniuszem!

Polakowi trudno wytłumaczyć, że mięso to trucizna

Wywiad z Krystyną Kwiatkowską, pedagogiem, terapeutką, organizatorką kursów samodoskonalenia

– Skąd pomysł zorganizowania kursów samodoskonalenia?

– W USA takie kursy są prowadzone z bardzo dobrym skutkiem już od wielu lat. Dlaczego więc nie prowadzić ich w Polsce?

– Czy rodzime kursy są żywcem przeniesione z USA na grunt polski? Skąd pewność, że się u nas „przyjmą"?

– Polskie kursy są lepsze od amerykańskich, gdyż są wzbogacone o filozofię Dalekiego Wschodu i dostosowane do polskich realiów. Kurs amerykański daje uczestnikowi oprócz spodziewanych efektów również dobre samopoczucie psychiczne. To samopoczucie u niektórych osób z czasem mija. Dzięki połączeniu metody amerykańskiej z filozofią Dalekiego Wschodu otrzymujemy trwały efekt.

– Czy rzeczywiście można pobudzić mózg do bardziej wytężonej pracy?

– Tak. Z tym, że my na kursach uczymy pobudzać mózg nie po to, by lepiej pracował, lecz po to, byśmy z jego pomocą mogli lepiej realizować swoje cele.

– W jaki sposób pobudza się mózg?

– Pobudzanie umysłu polega na zatrzymywaniu w nim informacji przez niego przechodzących. W tym celu najlepiej robić następujące ćwiczenie: rozluźnijmy mięśnie, zamknijmy oczy, weźmy trzy głębokie oddechy i przez 10 minut powtarzajmy nieustannie jedną myśl lub dźwięk. Najlepiej, aby to był dźwięk „om". Podczas ćwiczenia nie wolno dopuszczać do siebie żadnych myśli, a dźwięk musi być przeciągły: „ooooooooommmmmmmm". Osoby, które naprawdę chcą doskonalić siebie, muszą pamiętać o spełnieniu jednego, bardzo ważnego warunku: zawsze ŻYĆ PRAWDĄ. To nie żaden banał, ani pusty frazes. Bez spełnienia tego warunku, ćwiczenia mogą nie odnieść pożądanego rezultatu.

– W jaki sposób można przyśpieszyć proces uczenia się i notowania?

– Przede wszystkim należy wyciszyć umysł (właśnie za pomocą ćwiczenia, o którym już mówiłam). Gdy umysł jest wyciszony, zapamiętywanie staje się łatwiejsze. Tak samo jest z szybkim notowaniem.

– Czy można pobudzić do twórczego działania osoby, które nigdy dotąd nie zajmowały się działalnością twórczą?

– Tak, ale nie wolno nikomu nic narzucać. Pobudzenie do działalności twórczej staje się możliwe tylko wówczas, gdy osoba zainteresowana sama tego chce. Każdy człowiek ma dwie „anteny": nadawczą i odbiorczą. Wszelka działalność twórcza staje się możliwa dzięki wyciszeniu tej odbiorczej, a uruchomieniu nadawczej. Wszystko to może odbywać się tylko przy wyciszonym umyśle.

– Czy z jednostki przeciętnej można zrobić geniusza?

– Tak, ale tylko w jednej, określonej dziedzinie. Nie jest to wcale proste. Trzeba bowiem zmienić w swoim życiu, nawykach absolutnie wszystko. Począwszy od sposobu myślenia, aż do odżywiania.

– Odżywiania???

– Tak, tak! To, co jemy ma ogromny wpływ na nasz umysł. Pokarm absorbuje naszą energię w określony sposób. Bardzo ważny jest czas zalegania posiłków w organizmie. Np. owoce zalegają w żołądku tylko 20 minut, za to mięso z ziemniakami aż 24 godziny i... gnije! Wegeterianie słusznie więc unikają mięsa. Niestety, przeciętnemu Polakowi trudno wytłumaczyć, że mięso to trucizna. Na straży naszego sposobu odżywiania stoją obyczaje, a te – jak wiemy – najtrudniej przełamać. Prawidłowe, dzienne pożywienie każdego człowieka powinno składać się w 70 procentach z warzyw i owoców, a w 30 procentach z produktów zbożowych i mlecznych.

– Czy to znaczy, że kandydat na geniusza w żądanym wypadku nie powinien jeść mięsa?

– Tak. Jeśli jednak ktoś nie wyobraża sobie życia bez mięsa, powinien kupować tylko takie mięso, które pochodzi od zwierzęcia zabitego natychmiast, a więc zanim zacznie ono odczuwać strach. Mięso zwierzęcia zabitego w punkcie skupu to trucizna, gdyż wszystkie jego tkanki przesiąknięte są strachem. Wywar z takiego mięsa jest po prostu zabójczy. Należy również pamiętać o tym, aby kolacje jeść nie później niż o godzinie 20, gdyż między godziną 20, a 4 rano organizm trawi to, co zjadł poprzedniego dnia.

– Jakie warunki należy spełnić – oprócz prawidłowego odżywiania – aby udoskonalić swój umysł?

– Koniecznie trzeba odreagować tkwiące w nas złe myśli. Zamiast roztkliwiać się nad sobą mówiąc: jestem biedny, nieszczęśliwy, nikt mnie nie kocha, trzeba powtarzać: jestem szczęśliwy, wszyscy mnie kochają. Trzeba również nauczyć się tolerancji dla siebie i innych, być sobą i żyć w prawdzie. Każde kłamstwo jest niepotrzebną stratą energii i zubaża nas psychicznie.

– Czy osoby dorosłe mają równe szanse w doskonaleniu swojego intelektu co młodzież?

– Tak, choć proces doskonalenia jest u dorosłych nieco dłuższy. Podam przykład: Jeśli ktoś przez 10 lat „zarabiał" na swoją nerwicę, to trzeba 10 lat, aby go z niej wyleczyć. Proces odreagowywania złych myśli jest u dorosłych dłuższy niż u młodzieży.

– Dziękuję za rozmowę.

rozmawiała:

TOP 10

Single

1.	I Adore Mi amor	COLOR ME BADD
2.	Good Vibrations	MARKY MARK AND THE FUNKY BUNCH
3.	Motownphilly	BOYZ II MEN
4.	Emotions	MARIAH CAREY
5.	Love Of a Lifetime	FIREHOUSE
6.	Things That Make You Go Hmmm...	C & C MUSIC FACTORY
7.	Time, Love And Tenderness	MICHAEL BOLTON
8.	Do Anything	NATURE SELECTION
9.	Something To Talk About	BONNIE RAITT
10.	Shiny Happy People	R.E.M.

Albumy

1.	Robbin'g Wind	GARTH BROOKS
2.	Metallica	METALLICA
3.	Unforgettable	NATALIE COLE
4.	C.M.B.	COLOR ME BADD
5.	Lucky Of The Draw	BONNIE RAITT
6.	Cooley High Harmony	BOYZ MEN
7.	Gonna Make You Sweat	C & C MUSIC FACTORY
8.	Time, Love And Tenderness	MICHAEL BOLTON
9.	Out Of Time	R.E.M.
10.	Rool The Bones	RUSH

wg „Billboard" 28.09.1991

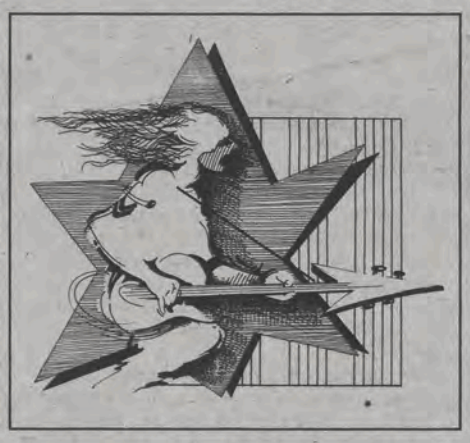

Muzyczny serwis

Z kraju:

● **Chris Rea** wystąpi w Polsce 20 października o godz. 18 w katowickim „Spodku", a nie jak wcześniej planowano w Warszawie. Bilety na koncert można nabywać w CIK przy ul. Zamenhofa 1/3.

● **Krzysztof Popek,** lider Young Power i Power Brothers założył wytwórnię płytową Power Brass. Studio nagraniowe wytwórni znajduje się w Wiśle-Malince, a płyty będą produkowane w Niemczech. Na pierwszych kompaktach wydanych przez Power Brass znajdą się nagrania grupy Young Power oraz tria Tomasz Stańko (Arild Andersen) Jon Christensen.

● Przestała istnieć Orkiestra Polskiego Radia „Studio S-1" pod dyr. Andrzeja Trzaskowskiego. Powodem rozwiązania orkiestry była trudna sytuacja radia.

● Firma ZPR-Records wydała nową płytę kompaktową **Edyty Geppert „Historie prawdziwe".**

● 20 września Lista Przebojów Programu Trzeciego została nadana po raz 500. Podsumowanie 500. notowań przedstawia się następująco: 1. Nothing Compares 2U – Sinead O'Connor, 2. Brothers In Arms – Dire Straits, 3. Fragile – Sting. 4. Careless Whisper – George Michael, 5. The Final Countdown – Europe, 6. Love Bites – Def Leppard, 7. Promise Me – Beverly Craven, 8. La Isla Bonita – Madonna, 9. Money For Nothing – Dire Straits, 10. Kochać inaczej – De Mono. **Markowi Niedźwieckiemu i Liście Przebojów życzymy co najmniej 500. następnych wydań.**

Ze świata:

● W Hamburgu odbyła się premiera filmu „Get Back". Jest to muzyczna relacja z ostatniej trasy koncertowej **Paula McCarteney'a w 1989 roku.**

● Największe przeboje Stevie Niks, wokalistki grupy **Fleetwood Mac** znalazły się na płycie „Time Space" – The Best Of Stevie Niks". Kompakt zawiera także dwa nowe utwory: „Love's A Hard Game To Play" i „Sometimes It's A Bitch" (duet z Jonem Bon Jovi).

● Zapowiadany na 28 września w Moskwie wielki koncert rockowy „Festiwal Wolności", na którym mieli wystąpić tacy wykonawcy jak Eric Clapton, Peter Gabriel, Sting, U-2 został odwołany. Jeden z organizatorów – radziecka rozgłośnia radiowa „Europa Plus" – nie wywiązał się z wcześniejszych zobowiązań. Do zadań tej rozgłośni należało m.in. dostarczenie do Moskwy sprzętu wykonawców biorących udział w koncercie.

● Nowa płyta irlandzkiej grupy U-2 „Achtung! Baby" zostanie wydana w listopadzie.

● W ubiegłym roku sprzedano w USA łącznie 865 mln płyt winylowych, kompaktów i kaset na sumę 7,5 mld dolarów.

● Mariah Carey za swoją pierwszą płytę pt. **„Mariah Carey"** otrzymała dwie nagrody Grammy'90. Jej drugą płytę „Emotions" promuje singel o tym samym tytule.

Rozmowa z Andrzejem Marią Marczewskim, dyrektorem Teatru Polskiego w Bydgoszczy.

Nasza sytuacja ekonomiczna bardzo niekorzystnie wpływa na sprawy kultury – wartości przecież zasadniczej w życiu narodu. Byt wielu scen jest zagrożony, dotacje ze strony mecenasa zbyt małe, w rezultacie fala komercjalizacji coraz bardziej zalewa nasz teatr. Co w tej sytuacji należy zrobić, aby zachować w Polsce teatr wyższego rzędu, posiadający ambicje artystyczne i intelektualne?

Odnaleźć sens teatru

– Z pewnością źle się dzieje w królestwie polskiej Melpomeny. Jest to dotkliwy kryzys myśli, który trwa już od pewnego czasu. W ogóle nie mówimy teraz o sprawach zasadniczych: jakie są społeczne zadania teatru, jaka jest jego rola w życiu narodu, czym teatr ma się zajmować, czym – wreszcie – jako sztuka ma być? Mówię, rzecz jasna o sytuacji ogólnej naszej sceny, która milowymi krokami zmierza ku komercjalizacji. Zapowiada się, więc że już za klilka lat teatr będzie przede wszystkim łatwą rozrywką, zniknie z repertuaru klasyka, nie będziemy oglądać sztuk typowo intelektualnych. Tak to się zapowiada, ale wierzę głęboko, że pozostanie garstka artystów, posiadająca swoich wiernych widzów, która uparcie będzie próbować odnaleźć sens teatru artystycznego w naszych trudnych czasach.

– Od trzech lat prowadzi pan bydgoski Teatr Polski, który zdobył już sobie miejsce w naszym życiu kulturalnym. Wystawia pan repertuar trudny – sięga pan po dramaty poetyckie Karola Wojtyły, pokazał pan polską prapremierę „Dialogów karmelitanek" Bernanosa, teraz myśli pan o „Księdze Krzysztofa Kolumba" Claudela. Czyżby w Bydgoszczy była taka publiczność, która preferuje repertuar intelektualny?

– Przez całe lata w teatrze bydgoskim grano głównie sztuki użytkowe (były oczywiście wyjątki) i tamtejsza publiczność była już chyba zmęczona tego typu repertuarem. Do teatru rzadko chodziła miejscowa inteligencja. A my odwołaliśmy się właśnie do tej widowni oraz do młodzieży. Powołaliśmy do życia Dyskusyjny Klub Teatralny, który jest czymś w rodzaju sceny eksperymentalnej, gdzie dla określonej publiczności prezentujemy sztuki trudne w swoim przesłaniu i tkance formalnej. Pozyskaliśmy w ten sposób młodzież szkolną i akademicką, zwiększyła się frekwencja w teatrze. Jakoś szczęśliwie udało nam się „trafić" w zainteresowania mieszkańców Bydgoszczy naszym repertuarem. Jednak najważniejszy wniosek, jaki wynika z naszej trzyletniej pracy w Bydgoszczy jest taki, że już w przyszłości nikt nie powie, że jest to miasto mało teatralne. A taki pogląd przecież przez całe lata fukcjonował.

Z pewnością przełamał pan poważny kryzys frekwencyjny, który istniał w teatrze bydgoskim, ale jednak i w tym mieście mieszka wielu ludzi, którzy nigdy w życiu nie byli w teatrze...

– To zjawisko istnieje w całej Polsce. I jest to dramat polskiej kultury, że w ciągu tylu lat nie udało nam się rozbudzić w naszym społeczeństwie zainteresowań teatralnych. Niestety, nie ma u nas nawyku chodzenia na premiery czy też nas koncerty do filharmonii. Z pewnością jest to wynik swoistej antypropagandy teatru, jaka była uprawiana u nas przez wiele lat – te „spędy" młodzieży szkolnej czy spektakle dla zakładów pracy, zniechęciły ludzi do teatru. I teraz trzeba podjąć trudny problem popularyzacji sztuki scenicznej w naszym społeczeństwie, a przede wszystkim – wśród naszej młodzieży. Znowu wracam do kwestii zasadniczej: my sami, aktorzy i reżyserzy, musimy odnaleźć społeczny sens teatru. Być może jest nim teraz właśnie praca upowszechniająca główne nurty naszej tradycji scenicznej, naszej dramaturgii, naszego aktorstwa. Jest przecież sprawą arcyważną, aby młodzież poznała kanon naszej dramaturgii i najważniejsze sztuki z repertuaru i najważniejsze sztuki z repertuaru światowego, które powinien znać każdy kulturalny mieszkaniec naszego kontynentu. Mówiąc o popularyzowaniu pewnych wartości mam na myśli twórcze spojrzenie na naszą dramaturgię klasyczną, która przecież musi być odczytana w duchu naszej trudnej epoki.

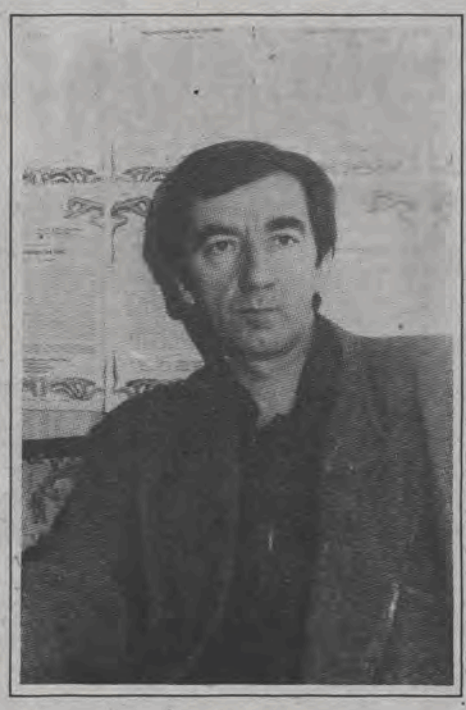

Andrzej Maria Marczewski

– Mówiliśmy o niebezpieczeństwie komercjalizacji naszej sceny. Jakie jeszcze inne zjawiska niepokoją pana w naszym życiu teatralnym?

– Problemów jest dużo. Borykamy się przecież z ciągłym brakiem pieniędzy, co stanowi zagrożenie dla bytu wielu scen. Ale chcę powiedzieć o innej sprawie – bardzo przykra jest bierność części naszego społeczeństwa i, niestety, części naszej krytyki, jeżeli chodzi o sprawy teatru i jego dalszej egzystencji. Odnoszę wrażenie, iż ta fala komercjalizacji mogła wystąpić z taką siłą dlatego, iż odbywa się jakby milcząca akceptacja tego niebezpiecznego zjawiska. W tej chwili grozi nam, iż ciągłość naszej kultury zostanie zerwana. I tylko my sami możemy do tego nie dopuścić. Dlatego, jak powiadam, głównym teraz naszym zadaniem jest odnaleźć utracony sens teatru.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Mirosław Sarnecki

30 pytań do...

Marek Wiernik – dziennikarz muzyczny III Programu PR (Cały ten rock, W tonacji Trójki), współpracownik TV (Rock – Express).

Stan cywilny: żonaty, 2 synów.

Wyuczony zawód: nie rozumiem pytania, ale jestem mgr historii (Uniwersytet Warszawski).

Zwierzęta domowe: chyba wspomniałem już o żonie i dzieciach.

Samochód: lubię ruskie wozy i nic na to nie poradzę.

Ulubiona potrawa i napój: 3 jaja sadzone plus biała kawka.

Kolor: błękitny, bo mam arystokratyczne pochodzenie.

Zalety: solidność, ambicja, duża wiedza, dobry tatuś.

Wady: żonka wmawia mi, że jestem egoistą i facetem stukniętym.

Największy życiowy sukces: dorodni synowie.

Największa życiowa porażka: gryzie mnie to, że nie dorobiłem się dużej fortuny.

Co cię najbardziej śmieszy: kariera głupków.

Co cię najbardziej denerwuje: *ta bezradność przy organizowaniu radiowych ramówek.*

Gdzie chciałbyś spędzić urlop: chyba w Kalifornii.

Marzenia: kobiety, wino i śpiew.

Osoba, której najwięcej zawdzięczasz: na pewno dwie osoby: mama z tatą.

Postać, którą podziwiasz: nic nie mogę wymyślić.

Ideał kobiety: skrzyżowanie Teresy Orlowski z Ciccioliną.

Ulubione programy TV lub radiowe: mojego starszego kolegi Johna Peela.

Najchętniej czytywane tytuły prasowe: Playboy, Rolling Stone i Cinema Press.

Ulubieni pisarze: Hłasko, Moravia, Rodan.

Ostatnio przeczytana książka: seks nietypowy.

Ulubieni aktorzy: Mickey Rourke i Al Pacino.

Ulubione filmy: „Rejs", „W samo południe", „Morze miłości", „120 Dni Sodomy".

Ostatnio obejrzany film: „Transformers".

Preferowany rodzaj muzyki: rozrywkowa, a szczególnie rockandrollowa.

Ulubieni wykonawcy: Buddy Holly, The Cult, T. Rex, Sex Pistols, EMF, Pretty Things.

Obejrzany koncert nr 1: Artwoods z Jonem Lordem w Warszawie.

Zdecydowanie nie słuchasz: oper i operetek.

Dewiza życiowa: zawsze do przodu, ale nie po trupach.

Pytał:
Andrzej Woszczyk

33 INTERNATIONAL JAZZ FESTIVAL WARSAW POLAND

Jazz Jamboree'91

Mimo dużych trudności organizacyjnych i finansowych tegoroczny 33 Międzynarodowy Festiwal Jazzowy Jazz Jamboree odbędzie się w Warszawie, w dniach 24-27 października.

Główne koncerty odbywać się będą – jak zwykle – w Sali Kongresowej o godz. 19.15. Przewidziane są również imprezy towarzyszące w kawiarniach na Ścianie Wschodniej, klubach studenckich oraz Jazz Clubie „Akwarium", ale szczegóły nie są jeszcze znane.

Zachowana będzie dotychczasowa formuła koncertów: Polska-świat – gwiazda amerykańska. Mimo że organizatorom nie udało się sprowadzić kilku wcześniej zapowiadanych gwiazd m.in. Airto Moreira, Carmen McRae czy Stephane Grappelliego to i tak program JJ'91 przedstawia się bardzo ciekawie.

Wszystko wskazuje na to, że gwiazdami JJ'91 będą **Chico Freeman Band, Art Ensemble Of Chicago,** wokalistka **Tania Maria** oraz **supergrupa w składzie: Herbie Hancock, Wayne Shorter, Stanley Clarke, Omar Hakim.**

A oto program festiwalu, który może ulec jeszcze pewnym zmianom:

24.10 – czwartek

Prowizorka Jazz Band (Polska), Namysłowski O + Michał Strzelczyk (Polska), Chico Freeman Band (USA), Herbie Hancock – Wayne Shorter Quartet (USA)

25.10 – piątek

Szukalski – Dutkiewicz Kwartet (Polska), The Johnny Thompson Singers (USA), Elizabeth Caumont (Francja), Art Ensamble Of Chicago (USA)

26.10 – sobota

Wojciech Karolak Band (Polska), Tomasz Stańko (Polska), Dave Holland (Kevin Eubanks) Mino Cinelu Trio (Wielka Brytania, USA), Nat Adderley Quintet (USA)

27.10 – niedziela

Jan Ptaszyn Wróblewski Big Band (Polska), Barbara Dennerlein Trio (Niemcy), Bobby Watson Victor Lewis Horizon (USA), Tania Maria (Brazylia)

Wszystkie informacje uzyskałem od rzecznika prasowego JJ'91 w biurze Zarządu Głównego Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego przy ul. Mazowieckiej 11 w Warszawie. Tam też można nabywać karnety festiwalowe, których ceny nie uległy zmianom w stosunku do 1990 roku (!) i wynoszą: 480, 400, 320 i 200 tys. złotych.

Andrzej Woszczyk

COMPACT DISC TOP 10

Lista najpopularniejszych we wrześniu płyt kompaktowych sporządzona na podstawie danych z 6 wypożyczalni CD: „Audio-Video Land" Łódź, Central II, p., „City Music" Łódź, ul. Piotrkowska 37, „Echo" Łódź, ul. Piotrkowska 49, „Sounds" Łódź, Al. Kościuszki 22, „Digital" Warszawa, al. Jerozolimskie 2 oraz „Rainbow Disc" Warszawa, ul. Szolc-Rogozińskiego 3.

1. On Every Street – DIRE STRAITS
2. Metallica – METALLICA
3. Use Your Illusion I & II – GUNS N'ROSES
4. Sugar Tax – OMD
5. Page Of Life – JON & VANGELIS
6. Into The Great Wide Open – TOM PETTY AND THE HEARTBREAKERS
7. Joyride – ROXETTE
8. Robin Hood: Prince Of Thieves – ORIGINAL SOUNDTRACK
9. Rool The Bones– RUSH
10. For Unlawful Carnal Knowledge – VAN HALEN

Płyty z rekomendacją

Tomasz Beksiński (III program PR)
ALICE COOPER – Hey Stoopid
JETHRO TULL – Catfish Rising
JON & VANDELIS – Page Of Life

Grzegorz Brzozowicz („Rock'and'roll", Radio Clash)
GUNS N-ROSES – Use Your Illusion I & II
METALLICA – Metallica
JOHN LEE HOOKER – Mister Lucky

Igor Kurowski (Wytwórnia płytowa SPV)
CHRIS COSEY – Pagan Tango
MOEV – Head Down
FURY IN THE SLAUGHTERHOUSE – Hook a Hey

Adam Rusek (Magazyn Muzyczny – Zestaw Bluesowy)
B.B. KING – Live At The Apollo
HOWLIN WOLF – Live In Cmbridge
THE ALLMAN BROTHERS BAND – Shades Of The Worlds

Hirek Wrona (Radiomann)
TIN MACHINE – Tin Machine II
TOM WAITS – The Early Years
LIVING COLOUR – EP

Czy „Carmen" przyniesie szczęście?

Antoni Wicherek napisał we wstępie do programu pierwszej premiery otwierającej nowy sezon w kierowanym przez siebie Teatrze Wielkim w Łodzi: *„Czas mojej dyrekcji zaczyna się od premiery „Carmen". Dobry to czy zły znak? Muzyka skrząca się od barw, świetnie zarysowane postaci sceniczne. Śpiewacy, orkiestra i dyrygent mogą pokazać się z najlepszej strony. Czegóż więcej trzeba? Mam nadzieję, że „Carmen" przyniesie szczęście publiczności, teatrowi – no i last but not least – dyrekcji"*. 14 września odbyła się łódzka premiera „Carmen" - Georgesa Bizeta.

Już dawno żadna premiera teatralna w Łodzi nie cieszyła się takim dużym zainteresowaniem! Wykupiono wszystkie miejsca siedzące i stojące.

Nowego odczytania jednej z najsłynniejszych na świecie oper podjął się francuski reżyser operowy Michel Gies. Narzekali na niego soliści i chórzyści, ale jak się okazało, warto było szlifować w pocie czoła każdy sceniczny ruch i detal, aby na premierze zaprezentować rzadko spotykaną na tej scenie spójność ruchową całego zespołu, łącznie z chórem chłopięcym. Wszystko współgrało ze sobą jak w doskonałym szwajcarskim zegarku. Niełatwo jest ruszyć statyczne zwykle operowe chóry, panu Gies udało się to znakomicie. Brawa więc dla chóru, gorzej było z baletem, ale z kolei malcy z chłopięcego chóru – wyborni. Uwaga widowni skupiała się przede wszystkim na solistach, odtwórcach głównych partii, bowiem to na ich głosach, umiejętnościach aktorskich, charyzmie scenicznej i trafności interpretacyjnej spoczywa sukces lub porażka arcydzieła Bizeta.

W osobowości Katarzyny Suskiej znajdują się wszystkie cechy, którymi musi brylować na scenie Cyganka Carmen: temperament, pewna tajemniczość, hiszpańsko-cygańska uroda i piękny mezosopran. Fakt, że zaśpiewanie premierowego przedstawienia powierzono właśnie Katarzynie Suskiej mówi sam za siebie. Z taką Carmen łódzki teatr śmiało może jechać na tourne'e do Francji.

Don Jose w interpretacji Karzysztofa Bednarka to nie tylko znakomicie, z żarem wewnętrznym zaśpiewana partia tenorowa, ale i pełna identyfikacja śpiewaka z postacią. I kto by przypuszczał, jeszcze przed rokiem, że Krzysztof Bednarek potrafi wyśpiewać i wykreować tak trudną partię. A jednak rok intensywnego śpiewania w Krakowie i Wiedniu, dał śpiewakowi oczekiwaną dojrzałość, pewność, swobodę. Brawo!

Wyjątkowo pięknie zaśpiewała partię Micaeli młoda, zaczynająca dopiero karierę sceniczną Małgorzata Pawlak. Za kilka lat będzie to jeden z najmocniejszych sopranów tej sceny.

Zbigniew Macias (toreador Escamilo) jest od dawna w wyjątkowo dobrej formie. Po raz kolejny celnie trafił postaciowo w swoją partię. Jaka świetna charakteryzacja, sposób poruszania się, bycia na scenie!

Zdumiał wszystkich Kazimierz Kowalski (porucznik Zuniga), którego bas brzmiał wszystkimi najwspanialszymi odcieniami i potęgą. Jak zwykle świetnie zrobiona aktorsko postać, z pewnością zapiszę Zuniga na konto sukcesów ambitnego artysty.

Mamy w Łodzi doborowe grono młodych, utalentowanych śpiewaków. „Carmen" należy do takich oper, gdzie soliści mają szczególne możliwości pokazania się z każdej strony. Soliści premierowej obsady w pełni wykorzystali tę szansę.

I chociaż scenografia Ryszarda Kai jest kontrowersyjna i bardziej zasmuca niż ubarwia operę, a zbyt powolne momentami prowadzenie orkiestry przez Wojciecha Michniewskiego powoduje uczucie dłużyzn, a słaba aklimatyzacja teatru dopełnia swoistego znużenia (4 godziny w teatrze!), to śmiem prognozować, że „Carmen" będzie kolejnym (po „Baronie cygańskim") przebojem w repertuarze Teatru Wielkiego w Łodzi i przez lata nie zejdzie z afisza.

Bohdan Gadomski

„Koty", „Upiór w operze", „Nędznicy" ...

Złota trójka czyli musicale i miliony

Turystyczna ciekawość państwa Johnsonów z kalifornijskiego miasteczka Cupertino, państwa Smithów z angielskiego Leeds czy państwa Sumikido z Osaki przybywających do Nowego Jorku bynajmniej nie kieruje ich pierwszych kroków ani do Statuy Wolności ani do Empire State Building. Dla większości turystów, którzy odwiedzają to miasto, największą atrakcją są musicalowe sceny Broadwayu. Wielu z nich widziało już słynne „Cats" („Koty") i „Les Miserables" (musicalowa wersja „Nędzników" W. Hugo, która także w Polsce, na scenie Teatru Muzycznego w Gdyni, grana jest pod oryginalnym francuskim tytułem) w Londynie lub San Francisco, a mimo to, przyjeżdżając do Nowego Jorku pędzą na Broadway, by obejrzeć je ponownie lub – także po raz któryś z rzędu – zobaczyć „The Phantom of the Opera" („Upiór w Operze") lub „Miss Sajgon". Płacąc co najmniej sześćdziesiąt dolarów za bilet oglądają te widowiska po raz drugi, trzeci, czwarty...

Turyści zawsze stanowili przynajmniej połowę broadwayowskiej publiczności. Nowojorskie sceny muzyczne nie od dziś prześcigają się w dostarczaniu im nowych wrażeń, ale mimo iż w ostatnim tylko sezonie zaoferowały one swym widzom aż dwadzieścia osiem nowych musicali i ponad dwadzieścia wznowień wcześniej prezentowanych tu spektakli, rekordy popularności nieodmiennie bije Wielka Trójka: „Koty", „Upiór..." i – „skracani" przez nowojorczyków „Les Miz". Dochód ze sprzedaży biletów, jaki przyniosła ta Wielka Trójka, wynoszący 449 milionów dolarów, stanowi ponad pięćdziesiąt procent zysków wszystkich broadwayowskich scen. Dla producentów, którzy sfinansowali realizacje tych przedstawień broadwayowska Trójka jest nie tylko Wielka, ale i prawdziwie Złotonośna: każdy rok eksploatacji podwójnie zwraca im poniesione wcześniej nakłady. Te trzy tytuły, wraz z dołączającą do nich „Miss Sajgon" (z której rekordowe, osiągnięte w samym tylko marcu wpływy kasowe sięgnęły 37 milionów dolarów!) to doskonale prosperujące instytucje! Ich stabilność, w tak efemerycznej dziedzinie, jaką jest rozrywka zdumiewa najwytrawniejszych nawet znawców teatru. Przyciągają one młodych widzów znacznie silniej niż inne broadwayowskie widowiska. Cieszą się o wiele większym uznaniem niż niezliczone sensacyjne filmy i koncerty zespołów rockowych. Żaden z broadwayowskich teatrów nie ma zmiennego repertuaru, żaden nie jest bowiem teatrem w naszym rozumieniu tego słowa jako instytucji artystycznej, wszystkie są salami wynajmowanymi przez producentów na czas eksploatacji jednego przedstawienia. Każdy z nich gra więc codziennie jedno „swoje" widowisko. „Koty" które niebawem obchodzić będą swe dziewiąte „urodziny" (co oznacza żywot dłuższy niż „Oklahoma" i „The Sound of Music" razem wzięte) prezentowane były 3.709 razy. „Les Miz", grani od pięciu już prawie lat, mają 1.796 przedstawień, a „Upiór..." nie schodzący ze swojej sceny od lat czterech ma ich 1.519. Jak dotąd nic nie zagraża wysokiej pozycji tych spektakli.

Popularność Wielkiej Trójki wydaje się być niezachwiana, a ich producent Cameron Mackintosh, który na broadwayowską scenę wprowadził także „Miss Sajgon", wróży jej długi jeszcze żywot. Jego zdaniem „Koty" przyciągać będą publiczność jeszcze co najmniej dwa lata, a „Les Miz" i „Upiór" cieszyć się będą jej względami lat pięć, o „Miss Sajgon" Mackintosh wyraża się nader powściągliwie. Twierdzi bowiem, iż jest zbyt wcześnie by bez ryzyka omyłki wróżyć jej wieloletnie powodzenie, choć już dziś przynosi ona zawrotne zyski. Wytrawny producent poddaje jej eksploatację bardzo szczegółowej analizie. Każdy tydzień obecności tego musicalu na Broadwayu kosztuje go pół miliona dolarów.

Wszyscy producenci marzą zawsze o długim życiu scenicznym finansowanych przez siebie musicali, ale takie powodzenie, jakim cieszy się Wielka Trójka jest zjawiskiem ostatnich lat. Cztery najdłużej utrzymujące się na nowojorskim afiszu musicale: „A Chorus Line" (6.137 przedstawień), „Oh, Calcutta!" (5.959), „Cats" (3.709) i „42nd Street" (3.486) - to rekordy lat osiemdziesiątych. Jeśli przewidywania Mackintosha okażą się słuszne to „Les Miz" i „Upiór" zdystansują nawet wcześniejsze sukcesy „My Fair Lady" i „Hello Dolly".

Czy Wielka Trójka jest naprawdę lepsza od wszystkiego co widział już Broadway? Krytycy nie są jednomyślni. „Koty" zawdzięczają swój sukces dawnej popularności brytyjskiej muzyki rockowej. „Les Miz" i „Upiór" są dziewiętnastowiecznymi opowieściami prezentowanymi w tradycyjnym, „operowym" stylu. Czy spektakle te nieodmiennie prezentują publiczności swą doskonałą, „premierową" formę inscenizacyjną? No cóż, i tak i nie. Formę „Upiora" i „Les Miz"

„Upiór w operze"

tak doskonale ugruntowują swym entuzjazmem... widzowie, że dziś wydaje się ona lepsza niż w dniu premiery. Ale „Koty" najwyraźniej się rozpadają, ich forma jest nierówna, jednego wieczoru doskonała, drugiego zaś – nieporównanie gorsza. Wielokrotnie zmieniła się obsada. Większość wykonawców doskonale tańczy, ale tylko dwoje lub troje naprawdę dobrze śpiewa. Mimo doskonałego systemu nagłośniającego dykcja bywa tak marna, że słowa docierają zaledwie do czwartego rzędu. Cóż więc sprawia, że spektakle te cieszą się tak olbrzymim powodzeniem?

Jednym z najważniejszych źródeł owych niesłychanych sukcesów frekwencyjnych Wielkiej Trójki jest stały wzrost liczby turystów odwiedzających Nowy Jork. W wielu mieszkańcach licznych miast świata rodzi się chęć i ambicja zobaczenia najsłynniejszych broadwayowskich „hitów", ujrzenia na własne oczy spektakli, z których pochodzą znane na całym świecie musicalowe przeboje. Bardzo jasno ujmuje to przewodniczący amerykańskiego Związku Producentów Teatralnych, Harvey Sabinson: *„W połowie lat siedemdziesiątych zaczęliśmy myśleć o sobie jako o turystycznej atrakcji. Obierając tę właśnie drogę zyskaliśmy więcej widzów, wpływów i dobrych widoków na długą przyszłość."*

Kolejnym równie ważnym czynnikiem sprzyjającym nieustannemu wzrostowi zainteresowania tymi widowiskami jest ich ciągła, bardzo profesjonalnie realizowana reklama. Najskuteczniejszą z jej metod okazuje się propagowanie spektakli na antenie telewizyjnej. Krótkie, najatrakcyjniejsze fragmenty barwnych przedstawień i entuzjastyczne o nich głosy popularnych osobistości ze świata filmu, teatru, polityki i businessu oraz równie pochlebne opinie tzw. zwykłych widzów, którzy „właśnie przed chwilą" oglądali reklamowany spektakl, skutecznie pobudzają ciekawość telewidzów na całym świecie. Amerykańskie rozgłośnie radiowe chętnie promują płyty z musicalowymi melodiami. Na bogatą, efektowną reklamę, która jest najsilniejszym magnesem przyciągającym do teatrów prawdziwe tłumy, żaden z producentów nie żałuje pieniędzy. Przyznać jednak trzeba, że sztaby zatrudnionych w reklamie ludzi to gremia wysoce profesjonalne i działające wprost perfekcyjnie. W oparciu o głęboką psychologiczną i socjologiczną wiedzę, która pozwala planować i kształtować zbiorowe zachowania, reakcje i potrzeby.

Carmon Mackintosh, najznakomitszy producent broadwayowski, ma znakomite wyczucie nastrojów i upodobań publiczności. Najzupełniej nie licząc się z krytykami, dokładnie trafia w jej gust. Potrafi on też znakomicie „sprzedawać" swoje tytuły, które stopniowo coraz silniej pobudzają wyobraźnię widza. Symbole, jakimi reklamuje on te przedstawienia, na długo zapadają w pamięć. Zbolała twarz Cosette na plakacie „Les Miz", połyskująca śmiertelną bielą maska „Upiora", wielka para żółto-zielonych oczu „Kotów" i helikopter nad „Miss Sajgon" – są niezwykle sugestywne, ale Mackintosh nie przecenia tej formy reklamy: *„w ten sposób przypominasz ludziom o swoim istnieniu, ale to zbyt mało, by zachęcić ich do przyjścia. Zachęcić może ich tylko słowo. Ono jest najważniejsze".*

„Marketing w dziedzinie musicalu wymaga zastosowania nadzwyczajnych metod – mówi Gerald Schoenfeld, dyrektor „Shubert Organization", w której władaniu pozostaje siedemnaście z niemal czterdziestu broadwayowskich teatrów – *tu wszystko musi być wydarzeniem. Gdy odkryjemy dziurę na dachu ogrodu zimowego w „Kotach", to wiadomość ta musi obiec Amerykę. Wydarzenia są tym, na co publiczność reaguje najżywiej, co ją do nas przyciąga".*

Czego naprawdę chce „musicalowa" publiczność, tego – naturalnie – przewidzieć nie można. Zwłaszcza gdy jest to publiczność tak różnorodna, jak owe 10 milionów ludzi, które obejrzały Wielką Trójkę na Broadwayu i przeszło 72 miliony, które oklaskiwały „Koty", „Upiora" i „Les Miserables" na innych, łącznie licząc, pięćdziesięciu trzech scenach świata, na jakich zaprezentowano te utwory. Jedno jest oczywiste: mimo iż gatunek ten niektórym miłośnikom teatru wydaje się mało szlachetny, a część krytyków krzywi się nań z niesmakiem, powszechnie odczuwana przyjemność oglądania musicali pozostaje tak wielka jak zawsze.

Ewa Pankiewicz

(wg Time'a)

PS. Z broadwayowskiej Wielkiej Trójki tylko „Nędznicy" dotarli na polską scenę. Ten wspaniały musical obejrzeć można w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Łódzkim widzom znane są inne nowojorskie „hity": „My Fair Lady", „Me and My Girl", „Skrzypek na dachu". Czy obejrzymy kiedyś „Koty" bądź „Upiora w Operze"? Lepiej nie pytać, zwłaszcza że tego ostatniego, we wszystkich łódzkich teatrach rychło zastąpić może materializujący się już duch klęski spowodowanej drastycznymi cięciami finansowymi dokonanymi w „sferze budżetu" i raczej grozi im nędza, niż nam „grożą" „Nędznicy".

E.P.

Kultura codzienności

Po latach nienormalnego funkcjonowania w nienormalnym systemie obraz naszego społeczeństwa nie jest optymistyczny. Na każdym kroku spotykamy się z zachowaniem delikatnie mówiąc – niekulturalnym, a więc otwarcie – z przejawami chamstwa graniczącego z przestępstwem.

Wystarczy posłuchać rozmowy przeciętnych Polaków, popatrzeć na wygląd ulic i klatek schodowych, zwrócić uwagę, jak ci bardziej majętni prowadzą swoje samochody, jak je parkują. Wystarczy mieć oczy szeroko otwarte i rejestrować fakty, często nie zauważane, bowiem bardzo się do ich chamskiej obecności przyzwyczailiśmy, tolerujemy je jak coś oczywistego i danego nam, jak zatrute powietrze w miastach. Jest to oczywiście jeden z przejawów demoralizacji społeczeństwa, pracowicie tworzonej przez warunki życia w „najlepszym z ustrojów", przez nierówności wobec prawa, przez zniszczenie etosu pracy, odebranie pozytywnego wzroca postępowania. Fala złodziejstwa i korupcji jaka przelewa się przez nasz kraj, zalew bezczelności cwaniaków wykorzystujących luki prawne, brak orientacji i naiwność prostaczków, w końcu proste, zwykłe chamstwo, płynące z egoizmu – to rezultat m.in. ostatnich lat.

Pod tym względem, trudno nas porównać z jakimkolwiek narodem tej Europy, do której tak nam śpieszno. Jak mamy się w niej znaleźć z zadeptywanymi lub rozjeżdżanymi przez parkujące samochody trawnikami? Z nachalnym handlem ulicznym, często uniemożliwiającym przejście pieszym? Z łamaniem wszelkich zasad, jakie są do złamania – bo stary porządek został nareszcie rozbity a nowego jeszcze nie ma? Człowiek kulturalny odwołuje się w takich sytuacjach do swych norm moralnych, do swej kultury i człowieczeństwa. Co jednak, gdy albo się o tych normach zapomina, albo ich się nie posiada? Powie ktoś: to wina niedoskonałego prawa. Będzie miał rację. Prawo nasze w wielu wypadkach jest niedoskonałe, powinno być jak najszybciej uporządkowane, pozbawione sprzeczności i nonsensów. Ale równie ważne, jest moim zdaniem egzekwowanie prawa.

Obserwując naszą burzliwą współczesność, przypominającą swoją dynamiką czasy opisane przez Reymonta w „Ziemi obiecanej", odnoszę wrażenie, że nasi prawodawcy w swej radosnej działalności zadowalają się formułowaniem przepisów i zasad nie troszcząc się, jakie będą ich dalsze losy i jak w praktyce wpłyną na życie społeczne. Nie wiem, jakie są tego przyczyny, ale obawiam się, że jest to prosty rezultat kompletnego oderwania się od rzeczywistości albo wyraz walk polityczno-frakcyjnych w łonie ciał ustawodawczych.

Trzymajmy się realiów naszego miasta. Co z tego, że usiłuje się wprowadzić porządek wśród parkujących pojazdów w śródmieściu ściągając opłaty parkingowe, jak i tak każdy parkuje jak chce: na chodniku, w poprzek chodnika, wzdłuż chodnika... Znaki i teoria sobie – praktyka sobie. Policjant zagadnięty o to, dlaczego mija obojętnie samochód tarasujący 4/5 chodnika, odpowiada: to sprawa drogówki, zresztą prezydent Palka zezwolił... Przedstawiciel służby miejskiej twierdzi, że nie ma kompetencji – a drogówki nie ma. Nie wiem, czy rzeczywiście prezydent Palka zezwolił na parkowanie na chodnikach – chyba nie, skoro ustawiono odpowiednie znaki. Cóż jednak z tego, jak nie ma komu ściągać mandatów. Nie ma komu karać łamiących przepisy i wygląda, jakby nikogo to nie obchodziło!

Weźmy inny przykład. Sklep „Catrin" sprzedaje piwo. Czynny jest całą dobę. W środku nocy, zalane łobuzy raczące się piwem czynią hałas, krzyczą, brudzą. Okoliczni mieszkańcy skarżą się, a władze reagują. Odbierają właścicielowi „Catrin'- koncesję na piwo. A ja, naiwny sądziłem, że ten typ myślenia mamy za sobą. Myślałem, że od czasu do czasu po prostu podjedzie patrol policji, usunie rozrabiaczy a normalny człowiek, jak będzie chciał, będzie mógł kupić piwo czy mocniejszy alkohol o dowolnej porze.

Przykłady te można mnożyć. Wydaje się, że są one wynikiem tej samej filozofii funkcjonowania społeczeństwa, która zrodziła pamiętne hasło: **„żądasz czystości – zachowaj ją sam!"**. Jestem przeświadczony, że tam, gdzie społeczeństwo chce zachować czystość, nie trzeba go do tego zachęcać, natomiast tam gdzie nie chce lub nie umie – takie hasła i tak nic nie pomogą. Kiedy w końcu zostanie ono zastąpione np. takim: **„żądam czystości – proszę posprzątać!"**, Kiedy w końcu odpowiednie służby, opłacane przecież z naszej kieszeni (to my płacimy podatki!), zaczną wypełniać swe obowiązki i przestaną biadolić nad brakiem ludzi i sprzętu?

Dlaczego proste sprawy naszego miasta muszą być załatwiane tak niemrawo, tak opornie? Ze smutkiem stwierdzam, że chyba jednak trochę miałem racji, przewidując w okresie wyborów do samorządu, że wybierzemy partie, które sprawy miasta będą traktowały instrumentalnie, że pojawią się tematy zastępcze, zabierające większość czasu i energii radnym. Pomyślmy, czy możemy już w tej chwili postarać się o to, by prawo znaczyło prawo, by chodnik był do chodzenia a zakup piwa nie był obarczony stygmatem upadku moralnego. Jeżeli doprowadzimy do tego, że zapanuje wokół nas czystość i porządek – kultura kontaktów międzyludzkich też z czasem powróci.

Mirosław Borusiewicz

Dawna Łódź

Wart przypomnienia

Jan Kazimierz Wojtyński, bo o nim będzie mowa, urodził się 24 czerwca 1899 r. w Leśmierzu, nie opodal majątku Sierpów, w którym gospodarował jego dziad Dionizy. Był synem **Władysława i Marii z Wasilewskich**, spokrewnionej po kądzieli z **Kornelem Ujejskim**, kwórcą „Chorału". Ojciec Jana, drobny właściciel ziemski, doznawszy niepowodzeń na roli, przeniósł się do Łodzi i podjął pracę w Magistracie.

Młody Janek uczęszczał do szkoły podstawowej w Krakowie (1908-1912) i do II gimnazjum rządowego w Łodzi. Szkoły średniej nie ukończył w terminie ze względu na trudne warunki materialne, w jakich znalazła się rodzina podczas wielkiej wojny. Egzaminy maturalne złożył eksternistycznie w 1919 r. Został korektorem w „Kurierze Łódzkim", jedynym wówczas organie prasowym, który *„ani na chwilę nie opuścił swego posterunku opinii publicznej przez cały czas okupacji niemieckiej"*.

W maju 1918 r. został dziennikarzem. Właściciel pisma **Stanisław Książek** dostrzegł w nim wartościowego pracownika i powierzył mu sekretariat redakcji. Pracował pod kierunkiem **Jana Garlikowskiego, Witolda Giełżyńskiego, Aleksandra Bielińskiego** (Banzaja), **Stanisława Łapińskiego i Kazimierza Kamińskiego**. Interesował się problematyką mniejszości narodowych, pogłębiał znajomość języka niemieckiego i żydowskiego. Niezależnie od obowiązków sekretarza redakcji „Kuriera Łódzkiego" był w latach 1917-1918 korespondentem łódzkim zakazanego wówczas w byłej Kongresówce „Kuriera Poznańskiego" i „Głosu Narodu".

Po odzyskaniu niepodległości, pozostając nadal na stanowisku sekretarza redakcji „Kuriera", włączył się w organizację służby prasowej przy dowództwie żandarmerii polowej, a z chwilą powołania do życia przez premiera Jędrzeja Moraczewskiego milicji został w styczniu 1919 r. referentem prasowym komendy Milicji Ludowej w Łodzi. Pełnił obydwie funkcje do lipca 1919 r., do czasu powołania do wojska i mianowania na referenta prasy obcojęzycznej i cenzora przy sztabie Dowództwa Okręgu Generalnego Łódź na miejsce poety **Jana Nepomucena Millera**. W wojsku służył do 13 kwietnia 1921, ale objął po demobilizacji podobne stanowisko przy Oddziale II DOG, już jako pracownik cywilny. Zwolniony z wojska wskutek redukcji agend DOG w końcu 1921 r. działał w Narodowym Związku Robotniczym a potem w Narodowej Partii Robotniczej (Lewicy), współpracując z organem tej partii „Praca". W końcu 1925 r. w obliczu rozłamu w NPR zaczął wydawać *„bezpartyjne, najzupełniej niezależne demokratyczne czasopismo tygodniowe"* pt. „Trybuna". W latach 1927-1934 ponownie pracował na stanowisku referenta prasowego Dowództwa Okręgu Korpusu w Łodzi, po czym został referentem prasowym prasy obcojęzycznej w Zarządzie Miejskim (1927-1934) i Urzędzie Wojewódzkim w Łodzi (1934-1939). Współpracował z Rozgłośnią Polskiego Radia w Łodzi i z łódzkim oddziałem Polskiej Agencji Telegraficznej (22 IX 1929 – 1 VII 1930).

W okresie okupacji niemieckiej mieszkał w Lublinie, pracując jako handlowiec. Po wyzwoleniu pracował krótko w resorcie Informacji i Propagandy PKWN, związał się ze Stronnictwem Demokratycznym i współorganizował z **Janem Urbanem, Zbigniewem Mitznerem** i **Józefem Wasowskim** Związek Zawodowy Dziennikarzy RP. W połowie lutego 1945 r. wrócił do Łodzi, pracując jako redaktor naczelny „Tygodnika Demokratycznego" (VI 1945 – IX 1946) i redaktor łódzkiej mutacji „Kuriera Codziennego" – czołowego dziennika SD. W latach 1945-1948 współpracował z „Dziennikiem Łódzkim", „Kurierem Wielkopolskim" i „Muchą", od 1953 r. spotęgowała się w nim depresja spowodowana całkowitym odsunięciem niewygodnego w czasach stalinowskich dziennikarza od łamów prasowych. Po 1956 r. próbował wrócić do czynnego dziennikarstwa, ale nieuleczalna choroba udaremniła realizację zamiaru. Zmarł 7 października 1967 r. w Łodzi.

Był istną encyklopedią wiedzy o Łodzi i jej mieszkańcach. Od 5 marca 1936 r. do września 1939 r. publikował w „Republice" anonimowo rubrykę „Z dziejów Łodzi". Pod koniec życia robił szkice z historii dziennikarstwa łódzkiego i żal, że ocalałe fragmenty rozproszyły się po świecie. Przyjaciel zmarłego **Józef Moniński**, zamieszkały po wojnie w Londynie dziennikarz łódzki pisał o nim: *„Całe swe życie, od najwcześniejszej młodości Jan Wojtyński pracował w dziennikarstwie, oddając swe pióro na usługi społeczeństwa i kraju (...) Był powszechnie znany i szanowany za swą bezmierną uczynność i gotowość niesienia pomocy każdemu, kto się do niego o jakąkolwiek pomoc zwrócił"*. Nie powinna ginąć pamięć o dobrych dziennikarzach.

Andrzej Kempa

W tle zawsze był obcy wywiad (2)

Tytuł tego cyklu: *„W tle zawsze był obcy wywiad"* – nie należy rozumieć jako oskarżenie o działalność agenturalną. Jest to jedynie próba pokazania tego, jak różne działania – niezależnie od intencji ich inicjatorów i realizatorów – budzą zainteresowanie obcych wywiadów i bywają przez nich wykorzystywane.

Gdy wiosną 1939 roku ludzie ORN „Falanga", kierowanej przez Bolesława Piaseckiego i na jego polecenie – zainteresowali się działaniami redaktora Stanisława Brochwicza vel Stanisława von Brauchitscha i zdemaskowali go jako agenta niemieckiego wywiadu, sprawę przekazali do Oddziału II Sztabu Generalnego WP. Stanisław Brochowicz został aresztowany, osądzony w twierdzy brzeskiej, skazany na śmierć, ale wyroku nie wykonano. Wrócił do Warszawy już w mundurze oficera SS. Antoni Dudek i Grzegorz Pytel, autorzy książki „Bolesław Piasecki Próba biografii politycznej", napisali przy tej okazji: *„Afera Brochowicza jest niezbitym dowodem na to, że organizacja Piaseckiego nie stoczyła się nigdy do poziomu płatnej agentury"*. Ale jednocześnie jest to dowód, że organizacją Bolesława Piaseckiego zainteresował się wywiad niemiecki.

Marzenie o Wielkiej Polsce

Wiosną 1939 roku – po raz drugi, pierwszy jesienią 1938 roku – w gronie działaczy kierownictwa Ruchu Narodowo-Radykalnego dwaj autorzy: Stanisław Cimoszyński i Olgierd Szpakowski – wygłosili referaty – uważa się, że inspirowane przez Bolesława Piaseckiego – których główna myśl sprowadzała się do idei utworzenia Wielkiej Polski – siły przewodniej Imperium Słowiańskiego. Włodzimierz Sznarbachowski we wspomnieniach opublikowanych w 94 numerze „Zeszytów Historycznych" sugeruje, że Bolesław Piasecki jeszcze w lutym 1937 roku, w opublikowanym wówczas programie: „Zasady Programu Narodowo-Radykalnego", zawarł zasadniczą myśl stworzenia Polski, która *„poprowadzi narody słowiańskie i Międzymorza przeciwko pogańskiemu pangermanizmowi i materializmowi komunistycznemu"*. Miała to być *„Polska Trzech Mórz"*, która mogłaby być też przykładem dla zachodu Europy. Referaty Olgierda Szpakowskiego i Stanisława Cimoszyńskiego były niejako rozwinięciem tej koncepcji. Zasadnicze tezy ich rozważań sprowadzały się do propozycji, aby Polska poszła razem z Trzecią Rzeszą przeciw ZSRR, a gdy wojska niemieckie wejdą w głąb ZSRR i rozbiją Związek Radziecki, polski sojusznik Niemiec przetnie linie komunikacyjne z Rzeszą i rozbije Niemcy, tworząc Wielką Polskę, a następnie Imperium Słowiańskie.

Nieudana próba nawiązania współpracy

Władze polskie nie zainteresowały się tymi koncepcjami. Polityka Józefa Becka sprowadzała się do utrzymywania równowagi tak między Niemcami, jak i ZSRR. Skończyło się to wojną, która wybuchła 1 września 1939 roku. Koncepcje te natomiast zainteresowały niemieckiego agenta Stanisława Brochwicza. Jak przyznaje w książeczce wydanej w 1940 roku w Warszawie pt. „Bohaterowie czy zdrajcy. Wspomnienia więźnia politycznego", jeszcze nim wybuchła wojna powiedział Bolesławowi Piaseckiemu: – *Niech pan się teraz deklaruje. Jeśli nawet Śmigły posunie się tak daleko, iż wypowie Niemcom wojnę, to pan będzie tym, który podpisze pokój i w ten sposób uratuje Polakom ich ojczyznę.* – Bolesław Piasecki z propozycji tej nie skorzystał, ale gdy w październiku 1939 roku wrócił do okupowanej Warszawy, znalazł się w kręgu zainteresowań dowództwa Wehrmachtu. Sam też – jak pisze Włodzimierz Sznarbachowski

Nieudany pomysł – Imperium Słowiańskie

– *„szukał – w myśl swej zasady penetrowania silnego przeciwnika – kontaktu z przedstawicielami Wehrmachtu. Został wtedy przetrzymany przez armię niemiecką na kilka dni na rozmowach"*. Wtedy też – sugeruje Włodzimierz Sznarbachowski – narodziła się koncepcja *„podwójnej organizacji"*.

W Wehrmachcie żywe były tradycje generalnego gubernatora warszawskiego z okresu pierwszej wojny światowej gen. Hansa von Beselera, który powołał Radę Regencyjną i „Polnische Wehrmacht". Ale w październiku 1939 roku Adolf Hitler odebrał władzę nad Polską Wehrmachtowi i przekazał ją cywilom i Gestapo, a następnie kategorycznie zakazał mieszania się oficerom Wehrmachtu do zarządzania krajami okupowanymi. Tyle tylko, że działała już Narodowa Organizacja Radykalna Andrzeja Świetlickiego.

Niemcy nie dali się przechytrzyć

Z inspiracji – przynajmniej wiele na to wskazuje – Bolesława Piaseckiego, ale niewątpliwie pod jego kontrolą, powstały pod koniec 1939 roku dwie organizacje: skierowana przeciwko Niemcom Narodowa Organizacja Walki, którą miał kierować Zygmunt Przetakiewicz, ale który po uwięzieniu Bolesława Piaseckiego i po pojawieniu się w Warszawie Stanisalwa Brochwicza, wyruszył przez Tatry i Węgry do Francji i później w Anglii współredagował pismo „Jestem Polakiem". Druga organizacja: Narodowa Organizacja Radykalna Andrzeja Świetlickiego miała służyć współpracy z Niemcami. Od władz Wehrmachtu NOR otrzymała dawną siedzibę Związku Młodej Polski w Alejach Ujazdowskich oraz mieszkanie Juliana Tuwima. Bolesław Piasecki polecił Włodzimierzowi Sznarbachowskiemu nadzorowanie tej organizacji. Wkrótce jednak Niemcy wyjęli NOR spod prawa 8 maja 1940 r. Andrzej Świetlicki znalazł się na Pawiaku, a 20/21 czerwca został rozstrzelany w wielkiej egzekucji w Palmirach. Niemcom taki sojusznik był niepotrzebny.

Stefan Korboński w książce „W imieniu Rzeczypospolitej..." napisał: *„Naturalny polski kandydat, niedowarzony Piasecki, z pochwałą trzeba to stwierdzić, wyrzekł się z miejsca brunatnych kuzynów i znalazł się w szeregach konspiracji"*. Bolesław Piasecki miał być zdaniem Stefana Korbońskiego *„naturalnym kandydatem"* na Quslinga. Stefan Korboński nie docenił Bolesława Piaseckiego, ale nie dysponował niezbędnymi materiałami. Były bowiem – i to z obu stron – próby nawiązania współpracy, a nawet utworzenia czegoś na kształt rządu.

W „Ogólnym raporcie polityczno-gospodarczym" z początku 1940 roku wysłanym do Londynu wspomina się o krążących w polskim społeczeństwie pogłoskach o *„dążeniach niemieckich do stworzenia na terenie okupacji bądź to „rządu" (a' la Hacha), bądź też obozu proniemieckiego w społeczeństwie polskim"*. Wymienia się jako kandydatów prof. Stanisława Estreichera, *„który zmarł w więzieniu niemieckim w Oranienburgu"* i ks. Janusza Radziwiłła, *„który po powrocie z Sowietów kategorycznie przeciął takie możliwości"*. Wspomina się o Władysławie Studnickim, który *„rozwija (prohiemiecką działalność, zasypując władze niemieckie różnymi memoriałami, z którymi nikt się jednak nie liczy"*. W następnych meldunkach pisze się o tym, że te starania nie spotykają się z przychylnością społeczeństwa, a grupę „Falangi" oskarża się o to, że *„używana jest przez okupantów do akcji dywersyjnych (ekscesy antysemickie)"*.

Włodzimierz Sznarbachowski wspomina, że poza Władysławem Studnickim *„próby rozmów z Niemcami i to już nie tylko z Wehrmachtem, aby budować w ramach Generalnej Guberni zaczątki samodzielności polskiej"* podejmowały również inne osoby. Profesor Zygmunt Cybichowski, kolega uniwersytecki Hansa Franka u niego zabiegał o mianowanie go *„szefem kadłubowego państwa polskiego"*. Doktor Zdzisław Michalski – internista, który leczył po pobycie w Berezie Kartuskiej Bolesława Piaseckiego i Włodzimierza Sznarbachowskiego i związał się z „Falangą", utrzymywał, że Bolesław Piasecki myślał o nim jako kandydacie na prezydenta okrojonej przez Niemców Polski. Również ideolog „Falangi" – Marian Reutt miał kontakty z oficerami Wehrmachtu, którzy byli zainteresowani nawiązaniem rozmów i współpracy. Trudno podejrzewać, aby wywiad niemiecki o tym wszystkim nie wiedział. A także i inne wywiady.

13 grudnia 1939 roku Stanisław Brochwicz – w towarzystwie innych gestapowców – aresztował Bolesława Piaseckiego, Onufrego Bronisława Kopczyńskiego, Jerzego Cybichowskiego i Mariana Reutta.

Eugeniusz Puchowicz

Wielokrotnie uciekał z więzienia, aż zastrzelił się w Teksasie

Ten, który zabił prowokatora

Pewnego październikowego dnia 1891 r. policja miasta San Antonio w Teksasie została zaalarmowana wiadomością, że w miejscowym parku odebrał sobie życie niejaki Otto Hauser. Skrupulatne śledztwo ujawniło, że pod tym nazwiskiem ukrywa się poszukiwany od paru miesięcy przez amerykańską policję niebezpieczny polski rewolucjonista **Stanisław Padlewski.**

W 1890 roku prasa światowa doniosła o zamachu, dokonanym w Paryżu, na generała żandarmerii rosyjskiej Seliwerstowa, bawiącego w tym mieście od początku 1890 r. Seliwerstow, przy pomocy specjalnie dobranych agentów-prowokatorów, nakłaniał rosyjskich i polskich rewolucjonistów do akcji terrorystycznych, dekonspirował ich, ujawniał wobec policji francuskiej i rosyjskiej, rozbijał jedność polityczną ugrupowań emigracyjnych. Zamieszkiwał w hotelu de Bade i czuł się na tyle bezpieczny, że Stanisław Padlewski zastrzelił go 18 listopada 1890 r. bez specjalnych przygotowań do zamachu.

Stanisław Padlewski urodził się 20 grudnia 1857 r. w Ochmatowie w guberni kijowskiej, jako syn Aleksandra, dyrektora cukrowni w Bulhajcach, i Emilii z Nowackich. Ojciec zmarł w kijowskim więzieniu, skazany za udział w Powstaniu Styczniowym, matka wyszła ponownie za mąż, babka zawiozła jedenastolatka do Suchodołów koło Brodów, majątku stryja, Stefana Padlewskiego.

Nie ukończywszy szkoły wstąpił jako ochotnik do armii serbskiej i brał udział w wojnie serbsko-tureckiej. Po przerodzeniu się konfliktu w wojnę rosyjsko-turecką Stanisław Padlewski wrócił do kraju, jesienią 1878 r. ukończył szkołę realną w Krakowie i wstąpił do Instytutu Techniczno-Przemysłowego, z którego został zresztą niebawem relegowany za częstą absencję na zajęciach. Już 14 marca 1879 r. został po raz pierwszy aresztowany przez policję krakowską pod zarzutem nie udowodnionego w śledztwie szerzenia wśród rówieśników idei socjalistycznych. Aresztowany powtórnie, po trzech miesiącach został wydalony poza granicę Austrii, bez prawa powrotu, i przez Niemcy udał się do Szwajcarii, gdzie w październiku zapisał się na kurs wstępny politechniki w Zurychu.

Czytał literaturę socjalistyczną i poznał czołowych socjalistów polskich: Mendelsona i Waryńskiego, szwajcarskich: Greulicha i Bürckla oraz niemieckich: Bernsteina i Kautsky'ego. Po ujawnieniu swych przekonań socjalistycznych utracił stypendium hr. Platera, udzielane studentom narodowcom, co uniemożliwiło mu kontynuację studiów. Odtąd poświęcił się bez reszty pracy w ruchu socjalistycznym.

Na początku września 1882 r. przybył do Poznania i podjął akcję propagandy prasy socjalistycznej. *„Jedną z form propagandy było rozsyłanie pocztą upatrzonym osobom numerów „Przedświtu", lub wrzucanie ich do mieszkań, do restauracyj, do sklepów. Otwierały się drzwi i numer „Przedświtu" wpadał do środka"* pisał Adam Próchnik, biograf Stefana Padlewskiego. Inną, ważniejszą formą propagandy idei socjalistycznych, były przemówienia Stanisława Padlewskiego i towarzyszy, wygłaszane w miejscach publicznych, a skierowane przeciwko niesprawiedliwości społecznej, nadmiarowi wojska, administracji i kleru. Denuncjacja spowodowała aresztowania podejrzanych, wśród których znalazł się Padlewski, ukrywający się jeszcze w więzieniu pod pseudonimem Wiktor Dyzek.

Rozprawa przeciwko aresztowanym socjalistom rozpoczęła się w Poznaniu 9 czerwca 1883 r., po czym skazani zostali uwięzieni początkowo w Poznaniu a potem w Plötzensee pod Berlinem. Po jej odbyciu Padlewski został zwolniony 13 kwietnia 1886 r. i natychmiast przekazany w ręce policji rosyjskiej. Osadzono go w X pawilonie cytadeli, gdzie wkrótce zaczął zdradzać objawy silnego rozstroju nerwowego. Został skierowany na obserwację do szpitala Jana Bożego, skąd dzięki pomocy dr. Romualda Pląskowskiego wyszedł na wolność. Udał się do rodziny na krótki odpoczynek, a potem pojechał do Noworosyjska, miasta portowego nad Morzem Czarnym, gdzie podjął pracę zarobkową.

Znudziła mu się wkrótce atmosfera rosyjskiej prowincji, zatęsknił więc za pracą w konspiracji. W 1889 r. udał się do Paryża, ale w Krakowie wpadł w ręce policji, która dopatrzywszy się przestępstwa nielegalnego przekroczenia granic monarchii austro-węgierskiej, aresztowała go. Po kilkumiesięcznym pobycie w lwowskim więzieniu wyszedł wreszcie na wolność i pojechał do Paryża, by wkrótce wrócić do kraju z nową misją. Właśnie 14 lipca 1889 r. na kongresie założycielskim II Międzynarodówki podjęto uchwałę o ustanowieniu dnia 1 Maja międzynarodowym dniem walki o sprawiedliwość społeczną.

Dla przygotowania manifestacji pierwszomajowych na ziemiach polskich zostali skierowani przez paryską emigrację socjalistyczną dwaj emisariusze: Stanisław Kassjusz do Lwowa i Stanisław Padlewski do Warszawy. W zorganizowanych przez aktyw II Proletariatu i Związku Robotników Polskich manifestacjach uczestniczyło prawie 8 tysięcy robotników. Był to niewątpliwy sukces Padlewskiego, na którego ślad jednak wpadła policja. Czym prędzej wrócił do Paryża i tu zdecydował się na terrorystyczny zamach na Seliwerstowa, nie uzgodniony z kierownictwem Partii Socjalno-Rewolucyjnej „Proletariat". Partia odcięła się od zamachowca, by nie narażać jej członków na represje. Przyjaciele ułatwili Stanisławowi Padlewskiemu ucieczkę z Francji. Tułał się po Włoszech, Anglii i Ameryce, by odebrać sobie życie 28 października 1891 r. wystrzałem z pistoletu.

Konstanty Borowiec

Z dziejów armii gen. Władysława Andersa w ZSRR

Dlaczego Żydzi pozostali w Rosji i Palestynie?

24.10.1941 r. w ambasadzie Rzeczypospolitej w Kujbyszewie miała miejsce rozmowa gen. Władysława Andersa z przedstawicielami Żydów polskich w ZSRR.

Wśród deportowanych w latach 1939-1941 w głąb ZSRR obywateli polskich - mieszkańców Kresów Wschodnich, oraz uciekinierów z obszarów okupowanych przez Niemców – Żydzi, według szacunków ambasady polskiej, stanowili około jedną trzecią ogółu – czyli 300-500 tys. osób. W Centralnym Archiwum KC PZPR, znajduje się raport, z 25.11.1944 r. napisany przez Stefana Wierbłowskiego, donoszący, iż wojenne wychodźtwo polskie w ZSRR składa się w dużej części z Żydów. Po podpisaniu układu z 30 lipca 1941 r. armia tworzona w ZSRR miała objąć wszystkich obywateli Rzeczypospolitej zdolnych do służby wojskowej: Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Żydów i Litwinów.

Jak doszło do zapalnego problemu Żydów w armii gen. Władysława Andersa w ZSRR, a następnie na Bliskim Wschodzie?

Wydaje się, że przesądziły o tym dwa czynniki – polityka radziecka i antysemickie tendencje w wojsku polskim. Do grudnia 1941 r. władze radzieckie sprzyjały napływowi Żydów do ośrodków, w których formowały się polskie dywizje: do Buzuluku, Tockoje, Tatiszczewa. Ambasador RP w ZSRR Stanisław Kot w informacji przekazanej do Londynu 05.01.1942 r. pisał: *„W 5 Dywizji w Taiszczewie jest Żydów dość dużo, w niektórych oddziałach do 30 procent"* (S. Kot „Listy z Rosji do gen. Sikorskiego", Londyn 1956). Sytuacja uległa radykalnej zmianie pod koniec 1941 r.

Rząd radziecki uznał, że nadal obowiązuje dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 29.11.1939 r. mówiący że *„wszyscy obywatele ziem zachodnich Ukraińskiej i Białoruskiej RSR, którzy znajdowali się na terytorium wskazanych obszarów w dniu 1-2 listopada 1939 r. nabyli obywatelstwo ZSRR"*. Wyjątek miały stanowić jedynie osoby polskiej narodowości.

Na tej podstawie zaczęto wcielać Żydów do Armii Czerwonej. Jednocześnie głoszono, iż są oni niepożądani w Armii Polskiej, że panuje w niej antysemityzm. Czy władze radzieckie rygorystycznie traktowały swoje stanowisko i czy można było – przy odrobinie dobrej woli – obchodzić ten przepis? Pytanie pozostaje otwarte.

Problem urósł do miary dramatu, podczas ewakuacji armii polskiej z ZSRR, kiedy władze radzieckie wydały surowy zakaz włączania do transportów rodzin żydowskich. Złagodzono go później, godząc się jedynie na żony i dzieci żołnierzy Żydów. Gen. Klemens Rudnicki w swoich wspomnieniach wydanych w Londynie w 1983 r. pisze: *„Nie mieli już tego prawa rodzice lub dalsi krewni, jak to przysługiwało żołnierzom narodowości polskiej (...) Gdyśmy im (Żydom) odmawiali, biegli do NKWD. Tam przyjmowano ich grzecznie i oświadczano, iż władze sowieckie nie przeciw ich wyjazdowi nie mają, i że to tylko wojskowe władze polskie odmawiają zabrania, ponieważ nienawidzą Żydów (...). Nie pomogły wyjaśnienia – uwierzyli Sowietom."*

Jest to jednak tylko połowa prawdy i nie należy traktować jej w izolacji prowadzącej do fałszywych wniosków. Postanowienia władz radzieckich stanowiły jedynie zapalnik głębokich animozji dzielących Żydów i Polaków. Animozji zagnionych w latach trzydziestych – teraz obrosłych nowymi treściami.

Doznający na sobie polskiego antysemityzmu Żydzi, niejednokrotnie z radością, witali władze sowieckie, co znów stanowiło znakomitą pożywkę dla antysemityzmu Polaków. Spotęgowanie tych nastawień ujawniło się przy tworzeniu Armii Polskiej w ZSRR. Profesor Stanisław Kot w liście do Stanisława Mikołajczyka z 08.10.1941 r. pisze: *„Nasi wojskowi, zwłaszcza typu Pstrokońskiego, już chcą wprowadzać numerus clarcus w instytucjach wojskowych. I nasi antysemici i nacjonaliści żydowscy rzucają myśl, czysto żydowskich podziałów z polskim dowództwem. Politycznie jest to bardzo niepożądane i dobrze by było, aby w Londynie takie myśli nie faworyzować"*.

Projekt legionów żydowskich zyskał w środowisku oficerskim pewne poparcie. Ambasador Stanisław Kot zrelacjonował te fakty na podstawie wydarzeń w Tocku: *„Dokonywało się to w formie jaskrawej – komenda ... Żydzi wystąp, po czym kierowano ich do Kotlubiańki pod komendą oficera uchodzącego za antysemitę"*.

Takie w wielkim skrócie było tło rozmów w ambasadzie RP w Kujbyszewie. Obok gen. Władysława Andersa w rozmowach uczestniczyli: ambasador prof. Stanisław Kot, przedstawiciel PPS adwokat Otto Pehr i attache prasowy ambasady RP w Moskwie Ksawery Pruszyński. Żydów reprezentowali: Henryk Erlich i Wiktor Alter – przedstawiciele Bundu, oraz przedstawiciel Ogólnych Syjonistów, Seidenman. Inżynier Wiktor Alter i adwokat Henryk Erlich blisko współpracowali z PPS, jak też z międzynarodowym ruchem socjalistycznym. Aresztowani w 1939 r. przez NKWD, w lipcu 1941 r. skazani zostali na śmierć. Zwolniono ich na mocy amnestii obejmującej obywateli polskich. W chwili rozmów z gen. Władysławem Andersem przygotowywali się do wyjazdu z ZSRR, w związku z projektem utworzenia Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego.

Po rozmowie z gen. Władysławem Andersem skierowali do ambasady list, w którym pisali: *„Podzielamy całkowicie stanowisko sformułowane przez gen. Andersa, a streszczające się w opinii, iż armia polska winna być tworzona, jako jednolita organizacja na podstawie równego traktowania wszystkich obywateli polskich, bez różnic narodowościowych lub wyznaniowych oraz naczelnym zadaniem tej armii jest orężna walka o wolną i demokratyczną Polskę – wspólną ojczyznę wszystkich jej obywateli. Z zadowoleniem usłyszeliśmy oświadczenie gen. Andersa, że wydał stanowcze zarządzenie o tępieniu na terenie armii polskiej w ZSRR wszystkich podżegań do waśni narodowościowych, a więc i wszelkich objawów antysemityzmu."*

Rozkaz gen. Władysława Andersa z 14.11. 1941 roku w sprawie „Udziału Żydów w Polskich Siłach Zbrojnych w ZSRR" spotkał się z tak silnym sprzeciwem – zwłaszcza w Tockoje, że gen. Władysław Anders poczuł się zmuszony do ogłoszenia drugiego rozkazu. Stwierdzał w nim między innymi: *„Nie chciałbym być źle zrozumiany przez dowódców. Rozumiem dobrze powody antysemickich odruchów w armii – są one oddźwiękiem nielojalnego, częstokroć wrogiego zachowania Żydów polskich kresowych w okresie 1939-1940. Nie dziwię się więc naszym żołnierzom, gorącym patriotom, że stawiają niejednokrotnie sprawę tę ostro. (...) Jednakowoż polityka nasza – ściśle związana z polityką angielską musi do sprawy żydowskiej, której wpływy w świecie anglosaskim, są bardzo znaczne, ustosunkować się pozytywnie. Wszyscy żołnierze muszą bezwarunkowo zrozumieć, że nasza racja stanu wymaga nie drażnić Żydów"*.

Następstwa tego rozkazu były fatalne. Dalszy ciąg sprawy miał już miejsce na Bliskim Wschodzie, kiedy to nastąpiła fala masowych dezercji Żydów z armii. Doświadczenia z okresu radzieckiego, stworzyły mur wzajemnych żalów i oskarżeń, które po dzień dzisiejszy nie udało się w całości obalić.

4 grudnia 1941 r. w czasie wizyty gen. Władysława Sikorskiego w ZSRR Wiktor Alter i Henryk Erlich zostali aresztowani, a następnie zgładzeni. Krystyna Kersten pisze: *„Zważywszy postawę i ogromny autorytet obu działaczy, zasadnie jest przypuszczać, że gdyby żyli, nie doszłoby do tak kategorycznego opowiedzenia się różnych środowisk żydowskich, w tym Bundu, po stronie ZPP i PKWN"*.

Grzegorz Kabaciński

„Zeszyty Historyczne" nr 95

Komu potrzebny był spisek?

30 października 1990 roku zmarł w Warszawie docent dr habilitowany, generał brygady WP, matematyk, pedagog i działacz społeczny – **ADAM OLGIERD UZIEMBŁO**. Urodził się w 1906 roku w Kimrach nad Wołgą. O jego rodowodzie najlepiej wyraził się oficer śledczy, który w latach pięćdziesiątych nieustannie go przesłuchiwał (aresztowano go 1 listopada 1949 roku) i kiedy dowiedział się, że jeden dziadek A.O. Uziembły był związany z Ludwikiem Waryńskim, a drugi z PPS, ale przeszedł do PPS Frakcji Rewolucyjnej, powiedział wtedy: – *A więc jesteście zdrajcą dziedzicznym. Wasz dziadek był zdrajcą, wasz ojciec był zdrajcą i wy jesteście tacy sami.*

A.O. Uziembło najpierw związał się z ruchem socjalistycznym, a od 1928 roku z komunistycznym. Walczył w obronie Warszawy jako oficer rezerwy w 4 batalionie 30 p.p. Resztę wojny spędził w Woldenbergu. Siedział tam razem z Józefem Kuropieską. Wspólnie założyli komórkę komunistyczną. Liczyli, że po wojnie nie powtórzą się stalinowskie prześladowania. Omylili się i sami padli ich ofiarą. Ich procesy – jak wiadomo – były fałszowane od początku.

Aresztowany, długo nie mógł dojść powodu, dlaczego tak się stało. Po latach przesłuchań doszedł do wniosku, że spisek w wojsku wymyślili: Mieczysław Miętkowski, płk Antoni Skulbaszewski i prokurator Leonard Zarako-Zarakowski. Ten ostatni był przedwojennym prawnikiem i musiał być świadom tego, co robi. Ich pomysł – według A.O. Uziembły – odpowiadał Bolesławowi Bierutowi. Więc z tego skorzystał. A gdy Edward Ochab, orientując się, co się dzieje, zażądał od Głównego Zarządu Informacji wyjaśnień, B. Bierut wyjął Informację spod władzy Głównego Zarządu Politycznego i podporządkował bezpośrednio Konstantemu Rokossowskiemu.

Według tego, co A.O. Uziembło powiedział płk Antoni Skulbaszewski, spisek w wojsku był próbą osłabienia armii, gdyż *„Rosjanie i Bierut zorientowali się, że wojsko jest o wiele większą siłą niż Bezpieczeństwo"*. To A. Skulbaszewski powiedział, że w WP jest 70 proc. starszych oficerów sprzed wojny. Po prostu bano się tej siły i postanowiono ją złamać. Takie były powody rzekomego spisku w wojsku.

Publikacja w „ZH" jest zapisem rozmowy, którą w styczniu 1989 roku spisał **Michał Komar.**

Opracował:

Jerzy Glinik

Kresy Wschodnie

PIŃSK

Miasto, które ma 900 lat

Pierwsze wzmianki o Pińsku pochodzą z końca XI wieku. Był to gród położony na końcu półwyspu pińskiego, głęboko wcinającego się w poleskie bagna, na skrzyżowaniu dróg wodnych: Piny, Jesiołdy, Prypeci. Od początku był to ważny punkt obronny i handlowy.

W pierwszym okresie swego istnienia należał Pińsk do Rurykowiczów. Był własnością księcia kijowskiego Światopełka. Miasto stanowiło łakomy kąsek dla Litwinów i w 1160 roku na krótko zdobył je Skirmunt. Drugie zagrożenie dla Pińska stanowili Tatarzy. Doprowadziło to do starcia z Litwinami. W

roku 1250 w pobliżu Pińska doszło do bitwy, w której książe litewski Radziwiłł rozbił chana tatarskiego Szejbeka.

Po śmierci księcia pińskiego Jerzego Włodzimierzowicza w 1292 roku rozpoczął się dla Ziemi Pińskiej, trwający ponad 200 lat, okres panowania potomków Gedymina. Gedymin w latach 1316-1320 podbił Polesie. Przeszło 60 lat Pińsk znajdował się pod panowaniem litewskim, a w 1386 roku, po połączeniu się Jagiełły z Jadwigą, przeszedł w ręce polskie. W 1386 roku książęta polescy złożyli w Łucku hołd Jagielle.

Wiek XV nie przyniósł większych zmian Pińskowi. W 1509 roku król Zygmunt I dał księstwo pińskie Fiodorowi Jarosławowiczowi, a po śmierci obdarowanego Ziemię Pińską otrzymała w dożywotnie władanie królowa Bona. Rządziła Ziemią Pińską prawie 40 lat. Zajęła się rozbudową miast, budową dróg i kanałów, zagospodarowaniem pustek. Sama doglądała realizacji swych poleceń. Wprawdzie część polskich historyków negatywnie ocenia królową Bonę, zarzucając jej, że była *„zachłanna"*, że *„skrzętnie gromadziła majątek, biorąc we własną administrację liczne dobra królewskie"* – to nie zmienia faktu, iż ziemie przez nią zarządzane rozwijały się pomyślnie.

Rozwój Pińska został przerwany przez najazd tatarski. Stało się to ciężką zimą, którą wykorzystali Tatarzy. Napadli i zniszczyli miasto. Wyparł ich z Pińska książe ostrogski Konstanty. Odbudową Pińska zajął się Stefan Batory. Przyznał miastu prawa magdeburskie oraz nadał mu herb: w polu czerwonym łuk żółty, napięty, o stalowym ostrzu. Po zawarciu Unii Lubelskiej w 1569 roku powstało województwo brzesko-litewskie, do którego weszło księstwo pińsko-turowskie jako Ziemia Pińska.

W 1648 roku miasto zdobył Bohdan Chmielnicki. Rozgniewany oporem, jaki Pińsk stawiał Kozakom, Bohdan Chmielnicki kazał spalić 5000 domów i wymordować 14000 mieszkańców. Odbudową Pińska kierował mianowany przez Zygmunta III starosta piński – Radziwiłł.

Na początku XVIII wieku spadły na Pińsk kolejne klęski. W 1706 roku zdobył miasto król Szwecji Karol XII. Kazał spalić przedmieścia Pińska i wysadzić w powietrze ledwie co zbudowany śliczny pałac Wiśniowieckich za to, że opowiadali się za

nienawistnym mu Augustem II.

W połowie XVIII wieku nastąpił rozwój Ziemi Pińskiej za przyczyną miejscowych magnatów. Kopano kanały, kładziono groble na pińskich błotach, modernizowano miasto. Wtedy to Michał Ogiński zbudował nazwany jego imieniem kanał. Gdy w roku 1784 zakończono budowę jednej wyjątkowo długiej grobli, na jej otwarcie przybył król Stanisław August.

Po drugim rozbiorze Polski w 1793 roku Pińsk wcielono do Rosji i włączono do guberni mińskiej. Rozpoczęły się prześladowania wymierzone przede wszystkim w Kościół katolicki – uważany za główną ostoję polskości. W 1795 roku zniesiono diecezję pińsko-turowską. Wybudowany przez Radziwiłła w 1635 roku kościół Jezuitów (po kasacji zakonu w 1773 roku była tam katedra unicka) zamieniono na cerkiew. W połowie XIX wieku mieszkało w Pińsku 10368 osób.

Po 1918 roku Pińsk znalazł się w granicach II Rzeczpospolitej. Polskie oddziały dowodzone przez gen. Franciszka Krajowskiego były entuzjastycznie witane w Pińsku. Przed 1939 rokiem mieszkało tu 32000 osób, w tym 63 procent Żydów, 23 procent Polaków i 9 procent Rosjan.

Po drugiej wojnie światowej Pińsk osiągnął 50000 mieszkańców. Leży w obwodzie brzeskim Białorusi. Rozwinął się tam przemysł drzewny, dziewiarski, odzieżowy oraz budowy i remontu statków rzecznych. Przy ujściu Piny do Prypeci jest port rzeczny. Przed 1939 rokiem stacjonowała tam Flotylla Pińska. Z zabytków zachowały się: szesnastowieczna katedra, kościół barokowy i kolegium jezuickie oraz klasycystyczny pałac Butrymowiczów.

Zenon J. Michalski

NAJTAŃSZĄ REKLAMĘ, SZYLD, ITP.

wykonasz samodzielnie kupując u nas

ZESTAWY LITER SAMOPRZYLEPNYCH!

- Bogaty zestaw kolorów
- Różne rozmiary i kroje
- Łatwy montaż

Sprzedaż hurtowa i detaliczna:

ŁÓDŹ, ul. Żwirki 17, tel. 36-42-44 w. 154
ul. PRZYBYSZEWSKIEGO 197/205, tel. 81-86-16

W SKLEPACH TYCH KUPISZ NAJTANIEJ
WSZYSTKIE MATERIAŁY POLIGRAFICZNE

iC Inter Commerce

ŁÓDŹ

RESTAURACJA VICTORIA

Łódź, Piotrkowska 75 (w Alei Rubinsteina) tel. 32-99-83 – czynna od godz. 12-tej do północy

Proponujemy dania międzynarodowe oraz potrawy z grilla.
W dni pogodne czynny taras. Organizujemy przyjęcia i bankiety

SERDECZNIE ZAPRASZAMY
koneserów dobrej kuchni i smakoszy

Przedsiębiorstwo
Handlowo-Usługowo-Produkcyjne

maxbud

Starowa Góra, ul. Okienna 8, tel. 14-12-65
Sklep Firmowy: Łódź, ul. Pojezierska 2/6
– pawilon I piętro tel. 55-30-36

OFERUJE:
- stylowe drzwi mahoniowe
- euro-okna
- listwy konstrukcyjne i wykończeniowe
- glazurę (sklep)
- boazerie

POSZUKUJE DOSTAWCÓW:

boazerii, tapet, wykładzin podłogowych, narzędzi i innych artykułów wykończeniowych

---

AUTOALARMY BAJERNE:

montaż, sprzedaż detaliczna i hurtowa

Terminy ekspresowe

ŁÓDŹ, UL. RADWAŃSKA 63/65

ZDROWOTNE MATY BAMBUSOWE

na fotele samochodowe (hurt i detal)

NOWOCZESNE BAGAŻNIKI SAMOCHODOWE

sprzedaż również w sobotę – ŁKS
w niedzielę – Giełda samochodowa

Firma TOBIK ● Firma TOBIK ● Firma TOBIK ● Firma TOBIK

- FOTELE SAMOCHODOWE – naprawa i przeróbka
- Montaż bezpiecznych ZAGŁÓWKÓW
- DRZWI I ZAMKI – regulacja
- ZAMKI CENTRALNE i elektryczne PODNOŚNIKI SZYB
- MECHANIKA POJAZDOWA 126p
- AUTOKOMIS i sprzedaż

FIRMA TOBIK, Łódź, ul. Tuwima 15

☎ 32-46-62

Kto spełni Państwa najskrytsze życzenia?

TYLKO RESTAURACJA

NOWA EUROPA

Al. Kościuszki 118

CZYNNA CODZIENNIE w godz. od 12 do 5 rano

- DRINK BAR z dużym wyborem napojów alkoholowych i nie tylko
- KAWIARNIA czynna w godz. od 10^{00} do 22^{00}
- DANCING w godz. od 21^{00} do 4^{00} rano

PROGRAM ARTYSTYCZNY – STRIPTEASE

- ORGANIZUJEMY bankiety, przyjęcia weselne

tel. 36-88-95

BIURO USŁUG TURYSTYCZNYCH **JANOSIK**

90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIV piętro, pok. 1404
tel. 84-70-24, 81-02-11 w. 474, 196, fax 81-59-27

PROPONUJE

- WŁOCHY: 11 dni, objazdowa, autokarowa, cena: 1,5 mln zł + 145 USD (wyżywienie własne)
- JAPONIA: 13 dni, w tym 8 dni w Niiagacie, cena: 6,5 mln zł + 250 USD (wyżywienie własne)
- CHINY: 12 dni, w tym 6 dni w Pekinie, cena: 6,5 mln zł + 240 USD (świadczenia)
- INDIE: 13 dni, w tym 8 dni w Delhi, cena: 6,5 mln zł + 170 USD
- USA – KANADA – MEKSYK – WYSPY BAHAMA: 10, 14, 18 dni, ceny: 1700 – 2200 USD
- TURCJA: 3 dni w Istambule, cena: 1,2 mln zł
- PARYŻ: 3 dni, w tym licytacja samochodów z możliwością zakupu, cena: 2,5 mln
- PARYŻ: przejazdy autokarowe: 690 tys., 990 tys.
- OSLO: przejazdy autokarowe: 1,7 mln
- ZAKOPANE: terminy dowolne, pełne wyżywienie, cena: 70 tys. zł za dobę od osoby

ZAPRASZAMY

Sex-Shop

Łódź, ul. Piotrkowska 48
tel. 32-52-14

Czasopisma, akcesoria, afrodyzjaki, zdjęcia, katalogi
Także dział gejowski

Znajdziesz TU to, czego szukasz i jeszcze więcej!

Erotic Land
Erotic Land
Erotic Land
Erotic Land
Erotic Land
Erotic Land

WYJAZDY DO ANGLII

i z powrotem

● TANIO ● WYGODNIE

MINIBUS z domu do domu

Tel. Łódź 15-46-15

SOBIERADEK

94-042 Łódź, ul. Florecistów 1 (Retkinia), tel.: 86-42-54

- glazura i terakota mrozoodporne (import Włochy, Szwajcaria)
- boazerie i listwy
- okucia meblowe i budowlane
- płyty laminowane, wiórowe i pilśniowe
- meble kuchenne i ogrodowe
- farby, lakiery i tapety
- narzędzia i elektronarzędzia
- maszyny do obróbki drewna
- sprzęt instalacyjno-sanitarny
- usługi cięcia płyt
- urządzenia do odświeżania powietrza – jonizatory

Godziny otwarcia: od poniedziałku do piątku 10.00-18.00

USŁUGI

● CALLANETICS, aerobik dla pań tel. 33-58-29 – atrakcyjne
● RADIO-TAXI czynne całą dobę – ceny konkurencyjne tel. 78-61-97
● USŁUGI radiowotelewizyjne 42-73-21
● NAPRAWA telewizorów turystycznych, radzieckich kolorowe i czarno-białe, ul. Tatrzańska 78a
● USŁUGI plastyczne – projekty, wykonanie, aranżacje tel. 36-24-49
● RADIO-TAXI 919 – czynne całą dobę
● HAFT automatyczny wielokolorowy Ł – Barwna 12c tel. 48-68-69
● URODA i zdrowie dla każdego „SOLARIUM" Wschodnia 41/43 (Parking)
● BIURO usług turystycznych „Janosik" Piotrkowska 270 IV p. tel. 84-70-24, fax 81-59-27 oferuje atrakcyjne wycieczki zagraniczne autokarowe i samolotowe
● BIURO Finansowo-Księgowe „DOMINO" – usługi w zakresie podatkowej księgi przychodów i rozchodów – Piotrkowska 270 pok. 1310 tel. 81-02-11 w. 629
● ELEKTROINSTALACJE, naprawy, pomiary po 16.00 tel. 36-21-04
● XERO, laminowanie, ekspresowo tel. 32-32-77 ul. Zachodnia 101
● BOAZERIE, pawlacze, szafy, zabudowy montaż – rachunki 51-78-68
● AKUPUNKTURA, ćwiczenia oddechowe 43-96-90
● 32-89-29 „Glob-Trans" – wycieczki zagraniczne, ceny konkurencyjne Piotrkowska 65
● SOLARIUM „MARIBO" al. Kościuszki 80/82 tel. 36-50-55 w. 300 masaż klasyczny, manicure-pedicure
● WRÓŻBY kartami Tarota 43-77-91
● STOLARNIA wykonuje na zamówienie: schody, stoły, ławy dębowe i jesionowe. 81-65-07 godz. 16-20
● PIONOWE żaluzje Rex International USA, na zamówienie Impulsu 80, Piotrkowska 270, tel. 84-56-50
● KURSY prawa jazdy kat „B". Krótkie terminy 57-91-63

PRACA

● AKTOR zawodowy poprowadzi zespół teatralny, względnie instytucję artystyczną. Zasiądzie w komisjach oceny artyst. w Łodzi lub województwie 51-68-45
● MŁODY mężczyzna poszukuje pracy (samochód) 43-22-98
● HAFT przyjmę 55-80-67
● POSZUKUJĘ pracy 51-52-47
● ANGIELSKI – korepetycje, przygotowanie na studia 33-87-56
● WYBITNY znawca wyceni każdy dobry instrument lutniczy 32-42-18
● KURSY jęz. angielskiego tel. 33-98-00 w. 320
● KURSY angielskiego tel. 43-62-16
● NAWIĄŻĘ współpracę z prywatnymi biurami podróży Mariusz Piskuła, 98-300 Wieluń, ul. Reymonta 2
● TECHNIK elektronik poszukuje pracy. Pabianice, Zamkowa 59 w godz. 11-18
● MŁODY inteligentny, kulturalny, samochód przyjmie interesujące zlecenia, tel. grzeczn. 81-93-34

RÓŻNE

● Klub „TIP" – zaprasza od 8.00-16.00 na smaczne śniadanie i obiady Kościuszki 80 VIII p.
● ŁTM zaprasza do ognisk muzycznych na terenie całej Łodzi. Zapisy Piotrkowska 65 33-16-27, 36-38-47
● NAUKA gry na fortepianie 84-28-14
● EDUKACJA teatralna dla młodzieży szkół średnich – zgłoszenie 33-16-27
● FAN-CLUB „CORRIDA" Jacka Wójcickiego listy, ul. Sanocka 1/3 Łódź
● AKADEMIA sukcesu – Traugutta 18 p. 503
● PRZYJMĘ używany samochód Combi w zamian za reklamę. J. Szubert 97-400 Bełchatów skr. 71
● ANGIELSKI, niemiecki – elektronika, informatyka – instrukcje, dokumentacje – telefon 87-63-43 wieczorem, Banaszewski
● POZNAŃ M-3 spółdzielcze zamienię na Łódź 84-28-58

SPRZEDAŻ

● SPRZEDAM lisy niebieskie – **cena 300 tys.** za sztukę.
● SPRZEDAM komputer typu Neptun 156 **cena 500 tys.** tel. 36-64-77
● CHARTY afgańskie rodowodowe po złotych medalistach cena 2 mln. tel. 42-55-51 wieczorem
● SPRZEDAM kram handlowy cena **1.600.000 zł** wiadomość ul. Piotra Skargi Łódź-Górniak pawilon 50
● SPRZEDAM segment, stan dobry cena **2.500.000 zł** tel. 55-74-62
● SPRZEDAM błotnik do Syreny lewy, tylny tel. 51-61-62
● IGŁY dziewiarskie do MULTIPIQE 22 sprzedam 33-21-85
● AKUMULATOR 45Ah – sprzedam cena **350 tys.** 36-64-77
● SPRZEDAM silnik FSO Fiat 1500 **cena 3 mln.** tel. 55-74-62
● SILNIK do „malucha" nowy sprzedam **cena 4,5 mln.** Kasprzaka 12a m. 16 tel. 51-30-65
● SPRZEDAM tanio zgrzewarkę PCV 3 KW **6.500.000** tel. 52-06-35
● CZĘŚCI do „Syreny", pralkę automatyczną, TV 24", 88-15-07
● TANIO sprzedam atrakcyjną suknię ślubną 81-93-34

VIDEO

● WYPOŻYCZALNIA kaset video – duży wybór tel. 32-32-03
● VIDEOFILMOWANIE tel. 84-24-02
● PPH PRO-MART telefon 37-62-16 zlecenie na import audio-video, kalkulatorów, zegarków, biżuterii, CB
● TARA – Klub 75, PARTIA V zaprasza posiadaczy magnetowidów – członkostwo 50 tys. mcznie darmowa wymiana kaset. Pawilon 50 Piotra Skargi Ł-Górniak
● SPRZĘT Audio renomowanych firm światowych z dwuletnią gwarancją „Studio CD" Ł-Górniak – pawilon 51
● WYPOŻYCZALNIA kaset video 32-32-03

KUPNO

● KUPIĘ gospodarstwo rolne w okolicach Łodzi tel. 74-34-41
● LEWĄ klamkę do Fiata 125 – kupię tel. 51-43-31 po 20.00
● KUPIĘ nowego Mercedesa tel. 32-16-07

ŻYCZENIA

● **Teresie Bagnowskiej** zam. Zbaraska 3 najserdeczniejsze życzenia imieninowe Krysia, Anna, Piotr
● **Marcinowi Radlakowi** ul. Zachodnia 101 za rewelacyjne usługi Anna, Piotr, Bogda
● **Teresie Rynkowskiej** ul. Rydzowa 3 serdeczne życzenia imieninowe składa Bohdan
● **Jadwidze Zdebskiej** zam. Harcerska 7 życzenia imieninowe składa mąż z Agatką
● **Igorowi Michalskiemu** Gdańsk – Teatr Wybrzeże serdeczne życzenia imieninowe składa grono przyjaciół z Łodzi
● **Jadwidze Święcickiej** Poli Gojawiczyńskiej 17 serdeczne życzenia imieninowe składa Anna

Dorocie Krakowskiej i Marianowi Staniucha

z okazji ślubu życzą im wszystkiego i dużo

Ania K., Jola S., Małgosia M., Jacek W., Robert G., oraz grono cichych wielbicieli i wielbicielek z Westy-Druk.

● **Zdzisławie Hausner** zam. Kopernika 74 m 5 gratulacje z okazji zostania babcią składają Ewa i Ania
● **Stanisławie i Albinowi Dziurdzom** zam. Polarna 8 gratulacje z okazji narodzin prawnuka Tymoteusza składają Urszula i Adek
● Dyrektorowi **Ryszardowi Śliwińskiemu** ul. Piotrkowska 270 BUT „Janosik" podziękowania za miłą współpracę – koleżanki
● Kochanej mamie **Terese Benickiej** zam. Makuszyńskiego 1 serdeczne życzenia imieninowe składają córka, zięć, wnuczka
● **Izydorowi i Teresie Dziurdzom** ul. Tatrzańska 65/24 gratulacje z okazji narodzin wnuczka składają Kotułowie
● **Elżbiecie Stasiak** z ośrodka Książych Młynów za cudowne zorganizowanie wakacji Krzysztof Kaczmarek z rodziną
● **Agatce Kaczmarek** zam. E. Studzińskiego 73 m 9 z okazji urodzin serdeczne życzenia rodzice z Piotrusiem
● Kochanej Cioci **Jadwidze Wasiak** zam. Ł – ul. Okrzei 9 serdeczne życzenia imieninowe składa Ola z mamą
● **Jadwidze Panek** zam. Gagarina 28/30 z okazji imienin serdeczności Ania, Marta, Krysia, Tadeusz.
● Kochanej córeczce **Kasi Wiaderny** samych piątek życzą rodzice

Monice Matuszak i Wiesławowi Pietrasowi

udanej podróży poślubnej życzą dziewczyny i chłopaki z Odgłosów

HANDEL

● P.H. „Tracz & Neuman poleca: bluzki, suknie, spódnice, kurtki, garnitury Boss, krawaty import, al. Kościuszki 80/82 telefon 36-50-55 w. 231
● „TRYUMPH" – hurt – detal, tel. 36-50-55 w. 299
● PAWILON obuwniczy „MIDAS" oferuje ekskluzywne obuwie Piotrkowska 153, Uniwersal I p., Central II p.
● SIECI NOVELL, komputery AI386/486, drukarki, urządzenia peryferyjne – montaż USA i Kanada tel. 36-27-80, fax 37-56-60, telex 88-63-02
● P.H.U. „DIMEX" – biuro handlowe – komputery, drukarki Ł – Kościuszki 80/82 tel. 37-56-16
● EXPORT-IMPORT „TRYUMPH" bielizny damskiej, Podgórna 38/40 m 21, tel. 42-94-85
● BLACHA, ocynk – hurt tel. 42-13-67, 81-05-75
● HURTOWNIA P.W. „JUREX" – dodatki krawieckie – tkaniny, Brzeziny ul. Sienkiewicza 22 0-40 74-36-73
● P.P.H. „POLEXIM" – al. Kościuszki 80/82 tel. 36-28-16, 36-37-09 oferuje: taśmy gumowe tkane szer. 5-70 mm, taśmy pasmanteryjne, taśmy tkane złotą i srebrną nitką
● KANTOR wymiany walut – poleca usługi Piotrkowska 76 tel. 32-59-26
● KANTOR wymiany walut – Piotrkowska 135 (poczta)
● KANTOR wymiany walut – Północna 1/3 tel. 33-43-04
● KANTOR wymiany walut – Kościuszki 33 tel. 37-21-73
● „CYFRAL" – Piotrkowska 277 tel. 81-00-63, autoalarmy, blokady, czujniki ultradźwiękowe, bezwładnościowe, mechaniczne i elektroniczne
● ZAKŁAD Usług Pogrzebowych – najtańsze trumny – Ł. Pabianicka 216 (w podwórzu) tel. 81-09-15
● AUTO-HIT – Łódź-Górniak, ul. P. Skargi, części: Opel, Mercedes, UW, Audi 34-38-86
● HURTOWNIA papierosów „AXE" ul. Wólczańska 249/251 8-18.
● AUTO-KOMIS kupno sprzedaż – atrakcyjne ceny ul. Wólczańska 241 tel. 81-01-40
● „DUET" – pośrednictwo celne – usługi, poradnictwo, kompleksowe odprawy, dokumentacja ul. Obywatelska 137 telefon 86-28-60 w. 398
● SKLEP „BEST" – art. spożywcze pochodzenia zagranicznego – zaprasza Sienkiewicza 22
● PH „MAGBAR" hurtownia obuwia i odzieży ul. Krzemieniecka 2 (obok hurtowni „Femina")
● KURTKI „ALASKA" sprzedaż hurtowa „AXEL" – Wólczańska 249/259 tel. 57-21-58
● „DAMA PIK" – hurt i detal atrakcyjnych materiałów (surówka, kresz, podszewki, bistory) tel. 74-34-52, 81-03-41, Piotra Skargi 8/10 Piłsudskiego 55
● „SONY" – telewizory, magnetowidy, odtwarzacze znanych firm „Gea" ul. Jaracza 9
● „WESOŁY SKLEPIK" – kaszlące popielniczki, śmiejące lusterka, skrzypiące buty i inne artykuły do robienia żartów – ul. Jaracza 7
● SKLEP firmowy „SORTEXU" poleca w dużym wyborze odzież typu jeans – ceny umiarkowane Piotra Skargi – Łódź-Górniak pawilon 61
● „DAR-MARK" – hurt detal oferuje art. piśmienne, zabawki, kasety video, obuwie, kosmetyki dla dzieci ul. Jaracza 9
● HUROWNIA „Igmara" al. Politechniki 37 tel. 48-71-12 wyprzedaż – koszulki bawełniane z krótkim rękawem – 16.000, z długim rękawem – 30.000 oraz dresy, piżamy, bluzy bawełniane, swetry
● MICROFAZA, lycra – „LAMAR" Brukowa 6/8 tel. 51-23-18 w. 74
● „INTER-AS" – oferuje wysokiej jakości, rewelacyjną odzież damską, bieliznę, obuwie – tel. 32-01-39 Piotrkowska róg Tuwima
● WYRÓB biżuterii artystycznej ze srebra – art. plastyk – 78-87-59
● PRZEDSIĘBIORSTWO Handlowe „Gepard" najtańsze meble w kraju z dostawą pod dom do 100 km w jedną stronę Sieradz, Krakowskie Przedmieście 78a tel. 59-05 Witkowski
● ATRAKCYJNE suknie ślubne, wizytowe garsonki, odzież damska oferuje sklep „MAJKA" ul. Jaracza 3 tel. 33-38-04
● SUKNIE ślubne i rękawiczki – duży wybór, bardzo atrakcyjne ceny – Firma „MARINOV" Dom Rzemiosła pl. Niepodległości (z podwórka)
● „KIER" – tkaniny kaletnicze imp., odzieżowe, taśma nośna, biza, plecaki, torby Ł. Jaracza 95/97 tel. 78-18-07
● „WILMA" – najzgrabniejsze muszkieterki – koty, oficerki, płaszcze z flauszu – Wschodnia 62
● FARBY, lakiery, impregnaty firm SADOLIN i MIPA Ł Wschodnia 62
● SKLEPY „FERRUM" – polecają szeroki wybór w branży metalowej i instal.-sanitarnej Ł. Sieradzka 1, Piotrkowska 317
● NAJTAŃSZE papierosy krajowe i importowane Firma „CIGARO" – hurt, detal telefon 33-16-13 zamówienia telefoniczne, transport gratis
● „ELKOS" – telefony, kalkulatury, notesy menedżerskie, radioodtwarzacze, anteny, głośniki samochodowe ul. Wschodnia 62
● HURTOWNIA odzieży importowanej „MEIMPEX" – duży wybór bielizny damskiej, męskiej i dziecięcej Ł. Próchnika 13 33-41-32

PO

wina kawę
piwa ocet
napoje oraz słodycze

Zaprasza

Przedsiębiorstwo „JAFI"

Łódź, ul. Cyprysowa 23

Tel. 34-27-72

Reklama w „Odgłosach" to reklama przez cały tydzień!

Oferujemy usługi w zakresie reklam. Promocyjne ceny:

- na kolumnie ogłoszeniowej – 6 tys. zł za 1 cm² (minimalna powierzchnia ramki 25 cm²)
- reklamy na pierwszej stronie – 100% dodatku (powierzchnia nie może być większa niż 150 cm²)
- reklama na ostatniej stronie – 50% dodatku (powierzchnia nie większa niż 200 cm²)
- reklama na pozostałych stronach 30% dodatku

Wykonujemy opracowania graficzne reklam: przy całostronicowej – 10% dodatku, przy pozostałych – 25% dodatku. Przy pięciu kolejnych ogłoszeniach – piąte zamieszczamy bezpłatnie!

Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji i opracowanie graficzne do uzgodnienia.

Ceny: całostronicowa publikacja – 10 mln zł, półstronicowa 6 mln zł, ćwierćstronicowa 4 mln zł

Ogłoszenia przyjmowane są w:

- „Odgłosach" ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro, pok. 1104, tel. 36-52-44
- „Gazecie Reklamowej" ul. Sienkiewicza 11/13, tel. 33-18-19
- AnGORZE" ul. Piotrkowska 94, I piętro, pok. 11, tel. 32-61-79
- Biurze Ogł. i Rekl. „Epoka" al. Kościuszki 41, tel. 33-23-28
- Biurze Reklam i Ogłoszeń ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 33-11-50
- B.U.T. „Voycamp-Tour" ul. Piotrkowska 91, tel. 33-36-21

Zasady przyjmowania ogłoszeń drobnych bezpłatnych

1. Ogłoszenie nie powinno przekraczać 10 słów
2. Każde ogłoszenie dotyczące sprzedaży powinno zawierać cenę
3. Ogłoszenia z życzeniami, podziękowaniami, przeprosinami itp. powinny zawierać imię, nazwisko oraz adres bądź miejsce pracy osoby, której składa się życzenia.
4. Ogłoszenia z zawiadomieniami o urodzinach niemowląt powinny zawierać imiona i nazwiska rodziców, nazwę szpitala, godzinę i datę urodzenia, długość i wagę noworodka, płeć niemowlęcia.
5. Ogłoszenia należy nadesłać pod adresem redakcji na zamieszczonym obok kuponie bądź też osobiście złożyć w redakcji, Sienkiewicza 3/5 XI piętro.
6. Redakcja zastrzega sobie prawo nie publikowania ogłoszenia bez podania przyczyny.

CZYTELNIKU! Wypełnij wycięty z naszego pisma kupon i prześlij go pod adresem redakcji. Twoje ogłoszenie zostanie zamieszczone bezpłatnie w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów".

KUPON OGŁOSZENIOWY „Odgłosy" 90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

Treść:

(imię i nazwisko) (adres) (telefon)

(data) (podpis)

● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY

● Tygodnik „Polityka" opublikował fragment przygotowywanej do druku książki pt. *„Zbigniew Bujak: Przepraszam za Solidarność"*. Po prezentacji poglądów Edwarda Gierka Janusz Rolicki prezentuje tym razem wywiad-rzekę ze Zbigniewem Bujakiem. Lider Ruchu Demokratyczno-Społecznego opowiada o ukrywaniu się w czasie trwania stanu wojennego i o tym, jak wpadł. Tytuł jednego z rozdziałów: „Pasterka". Otóż Zbigniew Bujak wspomina, jak 31 grudnia 1982 roku udał się na pasterkę do kościoła św. Marcina. Zadziwiające, że ani Janusz Rolicki, ani sam Zbigniew Bujak, ani nikt z redakcji „Polityki" nie dostrzegł kardynalnego błędu. Pasterka – jak każdy wiedzieć powinien – odprawiana jest w noc wigilijną, a więc 24 grudnia, a nie w noc sylwestrową. Noc sylwestrową spędza się zupełnie inaczej. Miejmy nadzieję, że błąd ten zostanie usunięty z książki.

● 20.09. w Kurii Biskupiej w Łodzi odbyła się konferencja prasowa. Na tej konferencji otrzymaliśmy krytyczną ocenę za postawę wobec Kościoła i religii. Nie mamy zamiaru podejmować polemiki z tą oceną. Z kół dobrze poinformowanych dowiedzieliśmy się natomiast, że głównym krytykiem „Odgłosów" była redaktor Małgorzata Golicka, która pracowała w redakcji naszego pisma przed 13 grudnia 1981 roku. Gdybyśmy zatem byli złośliwi, moglibyśmy wypomnieć red. Małgorzacie Golickiej postawę, jaką swego czasu zajmowała w sprawach

religii. Szanujemy jednak prawo każdego człowieka do nawrócenia się.

● Po aresztowaniu byłego prezesa NBP – Grzegorza Wójtowicza ZJM skomentował:

Drzewiej bywało, Panie Kochanku,
Że się gadało – pewne jak w banku.
Dzisiaj niejeden rodak się biedzi,
Co z tą pewnością, gdy prezes siedzi?

● Na niedawnym Meetingu Polskiej Partii Przyjaciół Piwa powszechny śmiech wzbudził dowcip opowiedziany przez prezydenta tej partii, Janusza Rewińskiego: – *Dawniej prowadził tramwaj, dziś prowadzi... rozmowy międzynarodowe.*

● W lokalnej telewizji wystąpił redaktor naczelny „Dziennika Łódzkiego" – Maciej Rosalak, który oświadczył przed kamerami, że po swoim przyjściu do redakcji nie zwolnił ani jednego dziennikarza. Zapomniał widać, że zwolniona została Małgorzata Bartyzel, która nie zgodziła się z tą decyzją i skierowała sprawę do sądu pracy. Oświadczenie w tej sprawie zaniosła do redakcji łódzkich gazet, które nie uznały za stosowne, aby je opublikować. Nie zrobiło tego też radio i telewizja. Likwidator RSW w Łodzi nie uznał jej stażu dziennikarskiego od 1980 roku, kiedy to Małgorzata Bartyzel najpierw pracowała w wydawnictwie związkowym, następnie w prasie drugiego obiegu.

● Na kilka dni przed przetargiem na „Dziennik Łódzki" zawieszony został w swoich obowiązkach redaktor naczelny tej gazety Konrad Turowski. Teraz ukończył kurację zdrowotną i wyraził gotowość powrotu do pracy. Właśnie zbliża się 35 rocznica rozpoczęcia przez Konrada Turowskiego pracy dziennikarskiej. Akurat dla uczczenia tej rocznicy otrzymał wymówienie z pracy. Wymówienie to nie zawiera odwołania ze stanowiska. I tak po raz drugi Konrad Turowski został wyrzucony z tej samej gazety. Pierwszy raz był wyrzucony z „Dziennika Łódzkiego" po 13 grudnia 1981 roku.

● W sobotę 21.09. odbył się ślub naszej koleżanki redakcyjnej – Moniki Matuszak z Wiesławem Pietrasem. Młoda para przyjechała do USC dla dzielnicy Polesie białym polonezem, natomiast gości przywiózł gustowny... autokar. Był to pomysł taty panny młodej – Grzegorza Matuszaka. On też zaproponował zebranym w USC gościom, aby moment ślubu upamiętnili swoimi podpisami w specjalnie na ten cel przygotowanej księdze pamiątkowej. Do księgi wpisała się też urzędniczka stanu cywilnego, która udzielała ślubu. Zwierzyła się przy okazji, że wpisywanie się do księgi bardziej ją stremowało, niż sama ceremonia udzielania ślubu. W tej dziedzinie ma już doświadczenie, do księgi wpisuje się pierwszy raz w życiu.

● Głośna była sprawa red. Małgorzaty Ziętkiewicz, która na własną rękę zdobyła informacje o przemycie alkoholu i prokuratura w Łodzi zagroziła jej sądem. Okazało się, że dziennikarz ma prawo do zbierania materiałów na własną rękę i odpowiedzialność. W wielu wypadkach dziennikarze spotykają się z odmową udzielenia informacj, gdyż ludzie w różny sposób poszkodowani lub narażeni na konflikt z władzą, boją się, że publikacja może im jeszcze bardziej zaszkodzić. W takiej sytuacji dziennikarz powinien działać sam, bez zgody zainteresowanego, aby móc wypełnić swoje obowiązki. Z drugiej strony staje przed obawą, że rzeczywiście może komuś zaszkodzić. Jest to nowe zjawisko, do istoty którego powinny się ustosunkować stowarzyszenia dziennikarskie. Ale one jakoś milczą.

B.M.

CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Oświadczenie SD RP

Łódzki Ośrodek Telewizyjny w swoim programie regionalnym w dniu 6 września br zaplanował konferencję prasową z władzami miasta. Jako gospodarz zaprosił dziennikarzy oraz przedstawicieli Urzędu Miasta z Prezydentem p. Grzegorzem Palką. Ten ostatni odmówił wystąpienia w programie wspólnie z red. Krzysztofem Spychalskim („Przegląd Tygodniowy").

Jest to już drugi przypadek, gdy p. G. Palka odmawia rozmowy z dziennikarzem, który naraził mu się krytycznymi materiałami prasowymi.

Nie wchodząc w ocenę zasadności krytyki, nie możemy pogodzić się z dyskryminowaniem przez urzędników państwowych czy samorządowych dziennikarzy, którzy „pozwalają sobie" mieć odmienne od władzy zdanie. Podobną arogancję władzy przeżywaliśmy gorzko w minionych latach. Jeżeli mówimy o demokracji, to musimy mieć odwagę ponoszenia skutków tę demokrację charakteryzujących.

Dlatego jeszcze raz stanowczo protestujemy przeciwko sposobom myślenia i działania podobnym do tych, jakie demonstruje w stosunkach z dziennikarzami Prezydent Miasta Łodzi.

SEKRETARZ GENERALNY Z.G.
red. Andrzej Ziemski
WICEPRZEWODNICZĄCY Z.G.
red. Andrzej Królikowski

„Każę cię wykończyć"

Piszę w nawiązaniu do listu redaktora Spychalskiego zamieszczonego w **„Gazecie Wyborczej"** w dn. 10.09.91 r. dotyczącego zachowania pana prezydenta Palki podczas konferencji prasowej. Opisane przez redaktora zachowanie pana Palki wcale nie jest dla mnie czymś nowym, lecz tylko potwierdza moje wieloletnie spostrzeżenia, którymi chciałbym się podzielić opierając się na kilku tylko faktach.

Znam Go od 1980 r. Byliśmy członkami tego samego Zarządu „Solidarności". Jest to człowiek o wielkich ambicjach aż chorobliwych, gotów dla ich osiągnięcia nie liczyć się z nikim i z niczym, na dodatek bardzo pamiętliwy i mściwy. Posiadając w/w cechy, a na dodatek mając trochę władzy wykorzysta każdą okazję, by zniszczyć każdego, którego zakwalifikuje jako swojego przeciwnika, zgodnie z zasadą – cel uświęca środki. W myśl tych zasad uznał redaktora Spychalskiego za swojego wroga, ponieważ to właśnie w 1988 r. Spychalski opisał powołanie tzw. „Grupy Robotniczej", której twórcami byli Palka, Kropiwnicki i Słowik.

Głównym zadaniem tej „Grupy" było knucie przeciw Wałęsie i TKK. Panowie ci teraz bardzo nie lubią, gdy ktoś o tym pamięta, ponieważ chcą uchodzić za jedynych przyjaciół i zwolenników Wałęsy, bo tylko w ten sposób mogą zrealizować swoje marzenia o stołkach.

Drugi przykład: w 80 r. Słowik wyrzucił Palkę z Prezydium łódzkiej „Solidarności". Po wyrzuceniu Go z sali obrad Palka przez kilka godzin stał pod drzwiami tej sali naciskając na wychodzących i wchodzących tak długo, aż oni wymogli na Słowiku zmianę decyzji dotyczącej Palki (pozostawiono go w Prezydium).

Teraz podam przykład, który dotyczył mnie. W 1986 lub 87 r. jako członek RKW pod kościołem o.o. Jezuitów romawiałem z Palką i Kropiwnickim sprawy dotyczące podziemia. Gdy okazało się, że zdania moje i Palki były zupełnie różne, by mnie przekonać o swojej słuszności wygłosił następujący tekst: *„jak nie zmienisz swojego postępowania, to każę cię wykończyć"*. Odpowiedź moja mogła być tylko jedna. Powiedziałem, że takich jak on to się nie boję, ażeby mnie wykończyć to musiałby skorzystać z pomocy SB.

Palka oczywiście o tym nie zapomniał. Gdy zostałem szefem RKO ludzie z tzw. grupy Zarządu Regionu na czele której stali Palka, Kropiwnicki i Słowik umilali mi życie na różne sposoby. Pomawiano mnie i RKO, że sprzedaliśmy się Żydo-komunie, malowano na budynku szubienice z powieszoną gwiazdą syjonu i wiele innych, których nie chcę już wymieniać.

Boli mnie tylko jedno, że tacy ludzie świadomie lub nie, przynoszą wstyd i niszczą zasady i idee „Solidarności" a przecież trzeba im przyznać, że też o nią walczyli. Nie mogę zrozumieć tego, dlaczego człowiek dla własnych ambicji gotów jest zniszczyć to w co wierzył i o co walczył.

Ryszard Kostrzewa

Łódź dnia 17.09.1991 r.

Kobiety a polityka

W artykule pt. **„Rozdanie znaczoną talią"** („Odgłosy nr 18, 1991) pan red. Konrad Frejdlich wymienił moje nazwisko sugerując, że kandyduję na senatora z listy Stronnictwa Narodowego dlatego, że widzi ono rolę życiową kobiety w kuchni i w rodzeniu dzieci. Czytelnik wnosi z tego, że taka właśnie jest moja opinia. Nie wiem do czego przeznacza kobietę pan red. Frejdlich, jestem jednak pewna, że nie przeczytał żadnej mojej książki, a swą wiedzę o moim feministycznym programie zaczerpnął z pisma „Nie". Radziłabym panu Redaktorowi, by zapoznał się z książką **„Druga i trzecia młodość kobiety"** albo, jeszcze lepiej, ze świeżo wydaną pozycją o charakterze beletrystycznym pt. **„Urodzić się kobietą"**. Może wtedy byłby nawet zaszokowany moimi poglądami na życiową rolę kobiety. Kuchnia? Owszem, to ważne, ale i panowie nieraz lubią tym się zajmować – i czemu nie? Rodzić dzieci? no, to już tylko panie, ale też w naszym polskim demograficznym i geopolitycznym położeniu jest to funkcja tak ważna, że powinna być należycie doceniana i dofinansowana przez odpowiednio wysokie dodatki na każde dziecko. Skąd? Z czego? – to nieustanne pytanie. Skąd? Ze sprawiedliwego rozdziału tego, co jest. Z rozsądnego działania. Z oszczędności. Czy mało marnuje się pieniędzy i materiałów? A liczne rodziny to przecież chłonny rynek wewnętrzny, z którego wiele przedsiębiorstw może dobrze żyć.

Lecz ten okres wczesnomacierzyński to tylko pewien etap życia, w którym kobieta najbardziej jest niezdolna do pracy poza domem – może ją podejmować co najwyżej w małym wymiarze godzin. Właściwa działalność zawodowa przesuwa się u kobiety bardziej na lata po trzydziestce, gdy dzieci już podchowane, a przecież i ojciec ma niemałą rolę w tym wychowaniu. A po czterdziestce kobiety coraz częściej powinny sięgać po kierownicze stanowiska, a także – przy odpowiednich kwalifikacjach – coraz liczniej wchodzić do parlamentu i rządu. Chciałabym je do tego jak najbardziej zachęcać. Śmiem nawet przypuszczać, że kobieta – ze swym instynktem opiekuńczym i praktycznym podejściem do realiów życia – lepiej nadaje się do rządów niż mężczyzna ze swym instynktem walki i skłonnością do tworzenia nieżyciowych teorii (jak marksizm, drapieżny kapitalizm, czy faszyzm). Nie postuluję matriarchatu ani „rządów kobiet". Ale postuluję prawdziwe partnerstwo męsko-żeńskie, zarówno w rodzinie, jak też „na górze". A partnerstwo zakłada różnice walorów i predyspozycji oraz wyzyskanie tych różnic w podziale ról. Cywilizacja nasza nie może być jednostronnie męska – zawsze wtedy będzie ułomna. Są dziedziny odpowiednie dla mężczyzn, jak budownictwo, przemysł, technika, obronność, i są też takie, które wprost czekają na kobiety, jak np: zdrowie, wychowanie, ochrona środowiska czy opieka społeczna. Nie zamykajmy oczu na psychiczne różnice płciowe i na fakt, że kobiety, liczbowo biorąc, stanowią w społeczeństwie nawet większość. Powinny mieć więc dostatecznie liczną reprezentację w ośrodkach decyzjotwórczych. Od czego mamy demokrację?

Doc. dr. med.

Kinga Wiśniewska-Roszkowska

Zaufaliśmy jej, a ona ...

Pozwoliłam sobie napisać do Państwa, bo sprawa dotyczy bezpośrednio mnie. Chodzi o artykuł w „Odgłosach" (nr 16 z 8 września 1991) dotyczący spraw w Sędziejowicach. Otóż jestem tą dentystką, która w opinii p. wójt J. Leśkiewicz wyjechała z Sędziejowic ze względu na sprawy osobiste. Jest to nieprawda.

W moim zawodzie pracuję 11 rok, z tego 9 lat w Sędziejowicach. Przyjechałam tutaj, bo dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej w Łasku, w porozumieniu z ówczesną dyrekcją Zespołu Szkół Rolniczych, proponowała korzystne warunki mieszkaniowe dla stomatologa i lekarza ogólnego w zamian za świadczenie usług stomatologa dla młodzieży i pracowników z tej szkoły.

Po kapitalnym remoncie (podnoszenie dachu strychu), dzięki pomocy szkoły (w postaci udostępnienia niektórych materiałów budowlanych) i dużym kosztem własnym zamieszkałam w ładnych mieszkaniach – 5 pokoi, kuchnia, WC, łazienka.

Ze względu na to, iż w tamtych czasach nie można było mieć dwóch mieszkań, musiałam oddać swoje dotychczasowe mieszkanie spółdzielcze Sieradzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej pomimo tego, że obecne było tylko mieszkaniem służbowym.

W Sędziejowicach pracowało mi się bardzo dobrze. W tym czasie zrobiłam specjalizację I stopnia i jestem w przededniu egzaminu specjalizacyjnego II stopnia. Moja praca została uznana przez zwierzchników i w 1989 r. zostałam kierownikiem Gminnego Ośrodka Zdrowia w Sędziejowicach (nie należałam do partii).

W tym czasie zaczęła pracować w moim ośrodku p. Leśkiewicz w charakterze pielęgniarki zabiegowej. Z wielkim zaangażowaniem i pomocą wszystkich pracowników pomagaliśmy jej w urządzaniu się.

Wykreowaliśmy ją na radną gminy Sędziejowice sądząc, że przedstawiciel służby zdrowia powinien być w przyszłych władzach gminy.

Wyborcy zaufali jej, wybierając p. Leśkiewicz na radną, a później zarząd na wójta gm. Sędziejowice. Od tego momentu o Sędziejowicach zaczyna być głośno, niestety negatywnie. Z osoby, wydawałoby się rozsądnej, p. Leśkiewicz przeistoczyła się w osobę żądną władzy, sukcesu, majątku.

Wszystko, co do tej pory funkcjonowało prawidłowo, przeistaczała w rumowisko, ceniąc plotkę, pomówienie, fałszerstwo. Z Zespołem Szkół Rolniczych mam podpisaną umowę na mieszkanie do 2001 r. W lutym tego roku dostałam nakaz wyprowadzenia się w ciągu 3 miesięcy. Po upływie tego czasu otrzymałam pismo o natychmiastowej eksmisji lub płaceniu 200% czynszu, a później pismo, a w nim stwierdzenie: *„W przypadku rozwiązania stosunku pracy z ZSR najemca zobowiązany jest zwrócić zajmowany lokal w terminie 3 miesięcy od daty rozwiązania umowy o pracę"*. Oświadczam, że do tej pory jestem pracownikiem i kierownikiem GOZ w Sędziejowicach. Moje interwencje w szkole i na zarządzie w gminie w sprawie mieszkania spełzły na niczym. Wiem, że motorem tych działań była p. J. Leśkiewicz. Jedyną prawdą jest to, że proponowała mi mieszkanie w Gminnym Ośrodku Kultury. Ale ja przecież miałam podpisaną umowę ze szkołą, dlaczego więc miałam opuszczać to mieszkanie, kiedy wszystkie warunki z mojej strony były spełnione, a narażać się na przeprowadzkę, nowe kłopoty, mieszkać w nieogrzewanym mieszkaniu (gdyż na ten rok nie przewidywano zainstalowania centralnego ogrzewania) nie chciałam.

W takiej sytuacji postanowiłam się wyprowadzić, chociaż byłam bardzo związana z ludźmi, pacjentami, z całym środowiskiem, bo to przecież 9 lat mojej ciężkiej pracy. Nie można spokojnie pracować w atmosferze pełnej nienawiści, walki o stanowiska, plotek, donosów, niszczenia osób niewygodnych. Tylko ludzie schlebiający władzy o identycznych poglądach i zapatrywaniach na życie mają możliwość zaskarbienia sobie łask pani wójt.

Wszystkie zarzuty przedstawione przez mieszkańców są prawdziwe, a jest to tylko drobny wycinek jej niszczycielskiej działalności.

Z przerażeniem myślę, że taka osoba może reprezentować nas w Sejmie.

Z poważaniem
Teresa Koszek
lek. stomatolog.
Złoczew

Odwieczne pytanie o jajko

Jedno danie Anny-Marii

Wszyscy nauczyciele biologii (i nie tylko!) powinni czym prędzej zapoznać się z dziełem J.W.G. Johnsona pt. *„Na bezdrożach ewolucji"* oraz przeczytać pewien skromny artykuł w skromnym biuletynie, który zwie się *„Wiadomości o Gminie Sędziejowice"*. Obie te pozycje powinny również znaleźć się czym prędzej na zestawie obowiązkowych lektur szkolnych.

Książka J.W.G. Johnsona została wydawana w Polsce. Dzięki osobistym i usilnym staraniom prof. habil. Macieja Giertycha, który jest kierownikiem Genetyki Instytutu Dendrologii Polskiej Akademii Nauk w Kórniku, i który swoim naukowym autorytetem owo dzieło poparł (a dendrologia, to jest, proszę państwa, mówiąc mniej uczenie: drzewoznawstwo).

J.W.G. Johnson teorię ewolucji poddaje miażdżącej krytyce. Nie zostawia cienia złudzeń, że Darwin był po prostu naukowym hochsztaplerem.

Darwin wydał swoje fundamentalne *„O pochodzeniu gatunków"* w 1859 roku. I zaraz, w tym samym jeszcze roku, pewien wybitny profesor z Cambrigde przewidział, że ta teoria ewolucji przyniesie ludzkości szkody *„mogące spowodować zezwierzęcenie rasy ludzkiej i pogrążenie człowieka w tak głębokim stanie zwyrodnienia, w jakim nie znajdował się, odkąd jego historię opowiadają pisemne przekazy"*.

A ja skąd o tym wszystkim wiem? No właśnie, z tego biletynu, z „Wiadomości o Gminie Sądziejowice" nr 2. Zakres jego czytelniczego oddziaływania jest niewielki, a szkoda, gdyż piórem pani mgr z Sędziejowic porusza sprawy tak ważne i tak istotne, że każdy, nawet przeciętnie wykształcony człowiek winien się z ich meritum zapoznać. Inaczej umknie mu odpowiedź na odwieczne pytanie, co było pierwsze: kura czy jajko?

Tytuł publikacji pani mgr: Ewolucjonizm a religia.

Autorka na wstępie zwraca uwagę czytelnika na paradoksalną sytuację, jaka wytworzyła się w naszym szkolnictwie: *„Otóż w niektórych klasach szkół średnich obok wprowadzonych lekcji religii odbywały się równolegle lekcje ewolucjonizmu. Ci sami uczniowie, w tej samej szkole uczyli się jednocześnie dwóch różnych koncepcji powstania życia na Ziemi"*.

(Uwaga powyższa jest ze wszech miar słuszna: sytuacja zaiste absurdalnie paradoksalna. Dwóch różnych koncepcji powstawania życia na Ziemi uczyć się wolno. Należy to szybko ujednolicić. Tylko jedna koncepcja może być słuszna, niesłuszną nie mącić w głowach młodzieży).

„Uczeń ma się nauczyć tego co mu się podaje, a więc uczy się w tego, czego uczą i wierzy. Co dalej? Sądzę, że w ostatecznym rozrachunku ewolucjonizm zostanie wycofany z programów szkolnych. Nie kryją się za tym żadne inne względy jak tylko czysto naukowe".

(Trudno nawet polemizować z trafnością powyższego wniosku. Względy czysto naukowe nie powinny mieć absolutnie żadnego wpływu na to, co znajduje się w programach nauczania. To był w ogóle niewybaczalny wprost błąd, że jakiekolwiek dotąd kryły się względy czysto naukowe w szkolnych programach nauczania. Uważam, że postulat autorki należy czym prędzej spełnić, nie tylko w zakresie programu nauczania biologii. Inne przedmioty też nie od macochy. (Po co im „względy naukowe"?).

„Ewolucja nie jest po prostu teorią naukową. Jest dogmatem stanowiącym tło dla wszystkich naukowych poczynań".

(Znów racja nie do odparcia. Od kiedy dogmat może być tłem i to tłem dla wszystkich naukowych poczynań? Na jakim świecie dogmatycznym myślmy do tej pory żyli, mój Boże?).

„Dominacja idei ewolucjonistycznych tłumiła wiarę w stworzenie świata przez Boga oraz nadprzyrodzoną religię. Doprowadziło to do narodzenia się fenomenu wieku dwudziestego – człowieka świeckiego. Jest to człowiek wykształcony, nierzadko bardzo przyzwoity, który jednak nie myśli nigdy o Bogu. Ewolucjonistyczny naturalizm wyrugował nadprzyrodzoność, a to prowadzi do upadku wartości moralnych".

(W tym miejscu rodzą się pewne drobne wątpliwości. Autorka jest zbyt tolerancyjna dla człowieka świeckiego. Fenomen, nie fenomen, lecz wyrugowany z nadprzyrodzoności i doprowadzony do moralnego upadku, nie może być jednak przyzwoitym. Zwłaszcza: bardzo. Co zresztą autorka, kilka akapitów dalej potwierdza własnymi słowy):

„Człowiek świecki nie dba o Boga-Stwórcę i nie uznaje jego przykazań. W ten sposób usunięte zostało źródło Autorytetu i utracona zdolność odczuwania absolutnych wartości moralnych.

(Teraz znowu słusznie. Nie do podważenia).

„Człowiek jest wierzchołkiem rozległego procesu ewolucyjnego. W ten sposób człowiek staje się swoim własnym „bogiem". Nie istnieje ponad nim nic, co jest zdolne nakazać mu: „Będziesz" lub „Nie będziesz...". Wolno ci kochać swojego bliźniego lub też wolno ci napaść na niego. Cóż za różnica? Obaj jesteście jedynie konstelacją atomów, a atomy nie posiadają sumienia ani praw".

(Całkowity upadek. Degrengolada. Zwyrodnienie i zezwierzęcenie. Potwierdziły się apokaliptyczne prognostyki prof. z Cambridge!).

„Przez obalenie barier pomiędzy gatunkami Darwin dał początek jakiemuś wyśnionemu światu, w którym meduza może stać się żyrafą, a komar przeistoczy się w człowieka".

(Mój dobry Boże, a kysz, a kysz. Komar przeistoczony w człowieka? To już horror, nie teoria naukowa).

„Artystycznymi symbolami ewolucji są dinozaury, które w istocie zaprzeczają idei ewolucyjnej. Albowiem te ogromne stwory pojawiły się nagle znikąd, żyły bujnie przez jakiś czas i później raptownie zniknęły. To przecież nie jest ewolucja".

(Nie do podważenia).

„Problem małpoludów jest to punkt ewolucji, w którym wdziera się ona najbardziej w domenę religii, gdyż dotyczy bezpośrednio pochodzenia człowieka. Teoria ewolucji logicznie wiedzie do poligenizmu, a więc nie do Adama, pierwszego człowieka, lecz do grupy zwierzętowatych mężczyzn i kobiet..."

(Tu patrz Genesis, Pierwsza Księga Mojżeszowa, rozdział drugi, punkt siódmy: **Ukształtował Pan Bóg człowieka, z prochu ziemi i tchnął w nozdrza jego dech życia. Wtedy stał się człowiek istotą żywą**).

„W imieniu nauki wmawia się nam, że te małpoludy istniały naprawdę i że pochodzimy właśnie od nich. Czy to jest prawdą, czy też nie, faktem pozostaje, że ta opowieść o małpoludach odnosi sukces. Cieszy się ona takim powodzeniem, że opowieść o Adamie i Ewie wydaje się śmieszna".

(Bardzo słuszne spostrzeżenie).

„Ewolucjoniści lubią wysuwać hipotezę wstecz, w głąb mglistej i niesprawdzalnej przeszłości. Ale jeśli pragniemy postępować uczciwie musimy zapytać samych siebie, czy nie może się to wydarzyć równie łatwo teraz, w jakimkolwiek czasie?

(Z całą pewnością. I teraz, i w jakimkolwiek czasie. Głąb mglistej i niesprawdzalnej przyszłości powinien stać się przyczynkiem do zlikwidowania niektórych kierunków uniwersyteckich. Np. archeologii. I nie tylko).

„Kto odrzuca możliwości stworzenia i pozostanie przy ewolucji mimo braku dowodów, pozostanie bez odpowiedzi na odwieczne pytanie: Co było pierwsze, kura czy jajko?".

Z całą mocą należy podkreślić, że podobnie odwiecznego pytania odrzucać nie wolno.

Anna-Maria

P.S.

Wszystkie cytaty z zachowaniem oryginalnej stylistyki oraz interpunkcji.

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

E. L. Skalnik. Z tygodnia na tydzień (20)

Przyglądał się tej swojej gąseczce z czułością. Na pewno jest to bardzo, bardzo śliczna gąseczka. I jego własna. Która nosi w sobie jego dziecko. W tym swoim, już zaokrąglonym niczym jabłuszko brzuszku. Brzuszek też jest jego. I wysmukłe, długie nogi. I te dwa krągłe pośladki, uwieńczone rozkosznym dołeczkiem, w którym zbiera się słonawy pot. I te pęczniejące od macierzyństwa w góreczki, Cycuszki-kwiatuszki. Wszystko jego.

– *Gąseczko* – odezwał się Paweł zdławionym głosem – *Chodź do mnie.*

Ty tłusta świnio! – pomyślała Joanna. Zrobiła zbolałą minę.

– *Och! dla mnie nadli!* – jęknęła – *Muszę natychmiast do łazienki.*

Paweł rozczulił się jeszcze bardziej. Biedna gąseczka. Tak źle znosi ciążę. Ciągle ma torsje, mdłości, silne bóle głowy. Lekarz mówi, że to normalne. I że w drugiej połowie ciąży dolegliwości powinny ustąpić.

Ale ile się teraz moja gąseczka nameczy, a ile jeszcze ciężkich chwil przed nią, nim urodzi mi syna – pomyślał Paweł. Poczuł wyrzuty sumienia. Za mało się o nią troszczy. Lecz kiedy ma się troszczyć? Ostatnio rzadko ją widuje. Gdyby nie choroba ojca gąseczki, już od ponad tygodnia byliby po ślubie.

– *Och, Boże* – westchnął Paweł. Sięgnął po czekoladkę. Odwinął ze sreberka. Różowe: więc będzie z arakowym nadzionkiem. Bardzo, bardzo dobra czekoladka wedlowska z arakowym nadzionkiem. Pyszna.

Sam sobie teraz dziwił się, że mógł Joasię porównywać z tamtą dziwką, Baśką. Słusznie go Andrzej naprał po pysku. Należało się. Niewiele brakowało, a ukrzywdziłby tę swoją gąseczkę niczym ostatni skurdziel. Dzielna, malutka dziewczynka, która i tak wiele przez niego wycierpiała. Każda inna znalazłaby ze sto sposobów, żeby faceta przydusić, postraszyć, poszantażować. Tymczasem ona nie poskarżyła się nawet rodzonemu bratu. Nikomu.

– *Tak, tak...* – mruknął Paweł, szukając w bombonierce kolejnej pyszności wedlowskiej. Zdecydowanie wolał wyroby Wedla od różnych zagranicznych, najekskluzywniej opakowanych czekolad holenderskich czy szwajcarskich. Tą, którą rozwijał ze sreberka, będzie nadziewana marcepanem. Ślicznie różowiutkim. Jak sutki przy cycuszkach jego gąseczki. Pyszne, pyszne.

– *Gąseczko! długo jeszcze?* – zawołał.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Woda tylko jakby chlupotała do wanny. Biedna mała, ale ją wcięło. Szkoda, że akurat teraz, bo się bardzo napalił. Kiedy się wreszcie pobiorą, będzie ją miał o każdej porze dnia. Zawsze pod ręką, Gąseczkę-żoneczkę. Trochę szkoda, że w ciąży. Lekarz powiedział, że potem to trzeba będzie bardzo uważać w łóżku, a na dwa miesiące przed rozwiązaniem zaprzestać w ogóle stosunków płciowych. Gąseczka spiekła raka. Było to po prostu wzruszające, ten nagły, gęsty rumieniec na jej policzkach. No tak, dziewczynka jest wstydliwa. Przed obcymi. I taka powinna być. Trochę kłopotliwa perspektywa, że kiedy ją wreszcie dorwie całkowicie dla siebie, będzie musiał uważać. Ale za to będzie miał syna. Jeśli chodzi o łóżkowe figle, jakoś się to załatwi, wyuczy gąseczkę różnych takich fajnych zabaw. Żeby było i przyjemnie i żeby brzuszka nie uszkodzić.

Z drugiej strony, gdyby nie ciąża – rozważał Paweł – nie żeniłbym się teraz z gąseczką, a kto wie?, może by mi się nawet w którymś momencie znudziła, jak wszystkie dziwki. Na pewno nie przyszłoby mi do głowy, że nie jest dziwką, i że mnie kocha.

Pawła wciąż zdumiewało i zachwycało jednocześnie, że taka śliczna dziewczynka, nie będąca zwykłą dziwką, zamierzała z pełną premedytacją zawiązać własne młode życie na supełek i rodzić dziecko. W sytuacji, w której nie miała żadnych podstaw, aby liczyć na ożenek. On nie zostawił jej przecież cienia nadziei, potraktował brutalnie. Na co więc mogła liczyć? Na nic, dokładnie. A mimo to chciała mieć to dziecko. I wychowywać je w jakimś kołchozowym mieszkaniu, gdzie wszyscy na kupie, i starzy, i rodzina siostry, i jeszcze sklerotyczni dziadkowie. Sama też bez perspektyw. Młodziutka, niedoświadczona, po maturze, bez pracy.

– *Moja dzielna gąseczka* – powiedział Paweł. Przełknął słodką od czekolady ślinę. – *Wszystko ci wynagrodzę. Będziesz miała ze mną dobrze.*

Kiedy ją tu Andrzej przywiózł, płakała. Nie, nie! Andrzej, ja cię proszę, mówiła płacząc, nie wtrącaj się w moje życie, odwieź mnie natychmiast do domu. Nie potrzebuję. Nie chcę, żeby się ze mną żenił. Sama sobie poradzę. Jestem młoda, silna. Dostanę gdzieś jakąś pracę. Mogę być sprzątaczką, woźną, wszystko jedno kim. A od Pawła nie życzę sobie jałmużny ani litości. Żeby mnie kochał naprawdę, szlochała chowając twarz w dłoniach, nie potraktowałby mnie tak obrzydliwie. Nigdy tego nie zapomnę, nigdy! Odjęła ręce od twarzy. Łzy leciały jak grochy, lecz oczy pałały oburzeniem: Niczego, słyszysz, od ciebie nie przyjmę! I nie obawiaj się, tchórzu, z mojej strony nic ci nie grozi! Nie zaskarżę cię o alimenty! Dziecku wpiszę do metryki, że ojciec nieznany!

No i która potrafiłaby się tak postawić? – pomyślał Paweł. Pogmerał w bombonierze, znalazł ostatnią czekoladkę. Niebieskie sreberko oznaczało, że czekoladka będzie miała nadzienie nasączone koniaczkiem. Najlepsza ze wszystkich wspaniałych nadzionek.

Rozkoszując się jego smakiem, myślał dalej o tym, że życie mu się ułożyło. Będzie miał za żonę swoją śliczną gąseczkę, której był pierwszym mężczyzną, a który mąż potrafi się pochwalić czymś takim? Niedługo zostanie szczęśliwym ojcem zdrowego syna. Lekarz powiedział, że ciąża jest mocna i prawidłowa.

Do lekarza zaprowadził gąseczkę specjalnie. Musiał mieć ostateczną pewność, że go nie nabiera. Diabła tam! Nie dowierzał jej mimo tych szlochów i przysiąg, że niczego od niego nie chce. Powiedział, że się ożeni, bo ten skurczybyk, Andrzej, nie tylko krzepki w pięściach, lecz co gorsza, za dużo wie o różnych takich interesikach. Lepiej mieć w nim kumpla niż wroga. A taka cwana kurewka mogła i brata nabrać, nie? Szlag na twarz, niby prawda, że ją upił, ale gdyby ona była taka porządna, to nie wsiadłaby w wózek z obcym facetem i nie pojechała do niego na chatę. Ta ciąża wydawała mu się nieprawdopodobną zagrywką, przecież, kurwa, uważał jak diabli. Dobra, niech im będzie, temu zwariowanemu na punkcie siostrzyczki Andrzejkowi i tej małej kurewce, zgoda, datę ślubu też ustalić może, nabajerować o podróży poślubnej także, zyska na czasie, żeby poobserwować swoją narzeczoną niby. A potem ją zaprowadzi do lekarza. Pod pozorem troskliwości, rzecz jasna. Umówił się wcześniej z lekarzem. Rozumie pan, doktorze, powiedział mu, sytuacja jest delikatna. Moja narzeczona powiada, że to już końcówka trzeciego miesiąca, a ciągle jest płaska jak deska. Jeżeli ciąża nie ma trzech pełnych miesięcy, dziecko nie jest moje.

– *Och, gąseczko* – westchnął wzruszony Paweł, przypominając sobie rumieniec Joanny, i lśnienie łez w jej oczach, gdy lekarz po zbadaniu powiedział: pełen trzeci miesiąc, zaraz pani poczuje pierwsze ruchy dziecka.

Brzuszek gąseczki już się zaokrągla, piersiczki też obrzmiewają. Ach, te piersiczki, cycuszki sprężyste, jędrne, zakończone różowiutkimi sutkami... Do diabła, co ona tak długo w tej łazience?

– *Pośpiesz się, malutka, bo już nie mogę wytrzymać!*

Odpowiedzi i tym razem nie było. Paweł zasapał, zgarnął poły swego ulubionego szlafroka w chińskie smoki, wsunął stopy w chińskie, też haftowane w smoki pantofle domowe, podszedł pod łazienkę. Woda dalej lała się strumieniem. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

– *Otwórz, gąseczko.*

Wtedy szum wody ucichł, zza ściany doleciały odgłosy tłumionych charkotów. Potem i one ustały, a zbolały głos Joanny odpowiedział żałośnie:

– *Za chwilę, Pawle. Niech się doprowadzę do porządku. Wyglądam gorzej niż okropnie. Nie możesz mnie oglądać w takim stanie.*

Do tego, co chciał z nią robić, nie był mu potrzebny jej piękny wygląd, ale spodobało mu się, że jego gąseczka chce być zawsze śliczna. Dziewczyna, która kocha i której zależy na mężczyźnie właśnie tak powinna postępować. To jest również sposób wyrażania uczucia. Uczucia i szacunku jednocześnie, pomyślał Paweł z pełnym zadowoleniem. Z gąseczki będzie dobra, posłuszna żoneczka.

Nalał sobie koniaczku. Przegryzł migdałkiem. Życie zaczynało nabierać dla niego nowych, jasnych barw. Młoda, śliczna żonka. Bardzo dobrze, że taka młoda. Siedemnaście lat przewagi nad gąseczką pozwoli mu ją odpowiednio wychować. Baśka nie dałaby się wychować. Baśka, ta szmata... do cholery, należy to imię raz na zawsze wykreślić z pamięci. Baśka przy Joasi to w ogóle stara, zdarta zdzira z roztlenionymi włosami i zużytą pipą.

– *Och, gąseczko...*

– *Jeszcze minutkę, Pawełku!*

Pawełek. Jak ona potrafi wzruszająco spieszczać imię. Nawet gdy nie spieszcza, wymawia je miękko, czule. To jest słodkie. Cała jest słodka. I głupiutka. Bardzo słodziutko głupiutka. Nie domaga się dla siebie prezentów. Baśce co trochę musiał coś kupować. W tym krótkim okresie „narzeczeństwa" naciągnęła go na kupę szmalu...

– *Jestem, Pawełku. Dlaczego pijesz? A kto mnie odwiezie do domu?*

Włosy miała nad czołem mokre, twarz bledziutką, oczy podkrążone. Wymęczyła się, biedaczka.

– *Wcale nie mam zamiaru odwozić. Zostaniesz ze mną na noc. Ze swoim Pawełkiem.*

– *Przecież wiesz, że nie mogę. Teraz, gdy tata w szpitalu...*

Podobało mu się i to, że nie wypina się na swoich starych. Że jest taką dobrą córką. Że martwi się stanem ojca, nie chce sprawić matce niepokoju. Przedkłada obowiązek i powinności córki nad własną przyjemność.

– *To zadzwonimy po taksówkę, gąseczko i złotówa cię odwiezie. A teraz chodź do mnie, maleńka. Szybciutko.*

– *Napiłabym się herbaty...*

– *Potem, potem!*

Przyszła. Usiadła. Rozsunęła nogi. Tak, tak, cudownie. Ach, jak go ten sam ruch już podniecał. Teraz położył rękę na kolanku gąseczki. O, tak... cudownie. Teraz pomalutku wzdłuż uda. Teraz odchylić rąbek majteczek. Och, och, moja malutka gąseczko – ząsapał Paweł.

Cdn.

Zysk to wynik przestrzegania reguł gry, dlatego wygrywa ten, kto myśląc o sukcesie nie dąży doń wszelkimi środkami. Księżyc czuwa nad Baranami, co może przyczynić się do drobnych komplikacji zdrowotnych. Przyjaciel nie opuści w potrzebie. Jego pomoc będzie bardzo potrzebna.

Ten, kto szuka życia i szczęścia, znajduje je tuż koło siebie. Hazard przemieni się w miłą rozrywkę, gdyż bawią się ci, którzy wygrywają. Warto pamiętać o potrzebujących i nie szczędzić im ani dóbr materialnych, ani serca.

Wspólny wyjazd przyniesie radość i satysfakcję, list od kogoś z rodziny zaskoczy, ale nie zasmuci serca. Przypływ gotówki pewny, jednakże gwiazdy radzą zachowanie umiaru i odłożenie paru groszy na „czarną godzinę".

Po ciężkiej pracy czas odpoczynku i szukania swego miejsca w życiu. Oziębłość uczuć zaboli, przypomni, że nie wszystko zostało załatwione tak, jak należy. Wybór między dwiema możliwościami sprawi ból, wprawi w zakłopotanie i konfuzję.

Niewiele pomoże rozpamiętywanie i zastanawianie się czy dobrze zrobiłem. Egoizm to ludzka rzecz i ludzka wada i wszyscy musimy się zeń rozliczyć. Najtrudniej pogodzić się z utratą wiarygodności. Zaufanie powróci wsparte czynami.

Poszukiwania zmierzające do rozwiązania problemu zostaną zwieńczone sukcesem, a dobra rada kogoś doświadczonego wzmocni postanowienie rozstrzygnięcia dylematu. Warto jednak ufać tylko tym, którzy są godni zaufania.

Wybór okaże się ogromną pomyłką. Błąd zrodzi błąd, przyszłość ukaże się w najczarniejszych barwach. Mimo to nie należy rozpaczać, gdyż tam, gdzie zamknięto bramy, otwierają furtki. Dlatego nie wolno palić za sobą mostów i kopać fos.

Tydzień minie błyskawicznie, w czwartek zaś Skorpiony czeka niezbyt miła niespodzianka. Trzeba z niej wyciągnąć wnioski i poradzić się lekarza. Kto szasta zdrowiem, traci je, dlatego gwiazdy radzą zachować więcej umiaru i godności.

„Ja wiem" nie oznacza wcale „ja mam rację", lecz czasami trzeba wykazać się zdecydowaniem i grać tak, by wygrać, choćby w kiepskim stylu. Gwiazdy napełnią mocą nie do pokonania, przeszkoda okaże się równie potężna. Pęknie pod wpływem woli.

Sprawność i umiejętności nie będą właściwie ocenione i trzeba się będzie z tą oceną borykać. Tak to już bywa, że tworzyć jest trudniej niż niszczyć. Dlatego wybrani tworzą, a odtrąceni niszczą. Tych ostatnich więcej, gdyż czerpią odwagę ze swej liczebnej przewagi. Jest to odwaga tchórza.

Nieumiarkowanie będzie poczytane za siłę zwycięstwa przez głupców. Mądrzy i chłodno oceniający rzeczywistość nie dadzą się na to nabrać. Najwyższy czas zmienić wewnętrzne nastawienie do otoczenia i nie łudzić się pozorami sukcesu.

Głusi nie są warci dawanych im rad, ślepi lekceważą przestrogi. To, co się wydarzyło niczego nie nauczy, a przeciwnie wzmocni jedynie wiarę we własną nieomylność i doskonałość. Wina zawsze leży po obu stronach, a słowo „przepraszam" ma ogromną wagę.

SAR. MON. SULIAN

Dean R. Koontz

GROM (4)

Południowa Kalifornia jest jednym z niewielu miejsc na świecie, gdzie w czasie krótszym niż dwie godziny można przejechać samochodem z temperatur zimowych w tropikane i Laura zawsze lubiła i podziwiała tę drogę. Cała trójka była ubrana odpowiednio do tej pogody: bawełniane skarpetki, zimowe buty, ciepła bielizna, pikowane spodnie, grube swetry i kurtki narciarskie. Jednakże za godzinę mieli znaleźć się w cieplejszym klimacie, w którym nikt już nie będzie się tak opatulał, a za dwie – rozebrać się do podkoszulków.

Laura prowadziła, a zajmujący sąsiedni fotel Danny bawił się z siedzącym z tyłu Chrisem w opracowaną podczas poprzednich wypraw grę, polegającą na kojarzeniu słów. Gęsto padający śnieg przykrywał nawet te odcinki drogi, które były w znacznym stopniu osłonięte przez rosnące po obu jej stronach drzewa. W odkrytych miejscach silnie miotany kapryśnymi podmuchami górskich powiewów śnieg tworzył białe zasłony i wiry z milionów płatków, które czasami znacznie ograniczały widoczność. Jechała ostrożnie, nie zastanawiając się, czy dwugodzinna zwykle podróż do domu zabierze im tym razem trzy lub cztery godziny. Wyjechali wcześnie i mieli masę czasu, ile dusza zapragnie.

Kiedy minęli szeroki zakręt parę mil na południe od domu i rozpoczęli półmilowy podjazd, zobaczyła czerwonego dżipa zaparkowanego na prawym poboczu i mężczyznę w marynarskiej kurcie, stojącego na środku drogi. Schodził w dół ze wzgórza, machając rękami, aby się zatrzymali.

Pochylając się i starając się coś zobaczyć poprzez szalejące wycieraczki, Danny powiedział.

– Wygląda, jak gdyby mu coś nawaliło i jakby potrzebował pomocy.

– Patrol Packardów rusza na ratunek – krzyknął Chris z tylnego siedzenia.

Kiedy Laura zwolniła, facet na drodze zaczął szaleńczo wymachiwać rękami, wskazując, że mają przesunąć się ku prawemu poboczu drogi.

– Coś jest z nim nie tak... – odezwał się zaniepokojony Danny.

Tak, coś było nie tak. To był jej niezwykły obrońca. Po tych wszystkich latach jego widok przeraził Laurę i wstrząsnął nią do głębi.

* * *

W momencie, w którym Blazer wynurzył się zza zakrętu, Stefan wyszedł już z ukradzionego dżipa. Biegnąc w ich kierunku zauważył, że Laura na wysokości jednej trzeciej wzgórza zredukowała do pierwszego biegu, ale jechała dalej środkiem szosy, więc nakazał jej, jeszcze bardziej gwałtownie, że powinna zjechać na pobocze, tak daleko, jak to tylko jest możliwe. Nie zatrzymała się jeszcze, jakby niepewna, czy jest tylko kierowcą, który znalazł się w tarapatach, czy też grozi im z jego strony niebezpieczeństwo, ale kiedy zbliżyli się na tyle, że mogła zobaczyć jego twarz, a może też rozpoznać ją, usłuchała natychmiast.

Kiedy go minęła i podjechała Blazerem na szerszy fragment pobocza, stojąc tylko dwadzieścia stóp poniżej dżipa, Stefan zawrócił, podbiegł i gwałtownie otworzył drzwi samochodu.

– Nie wiem, czy wystarczy zjechać z drogi. Wychodźcie na skarpę, szybko, już!

Danny zaprotestował:

– Hej, o co...

– Słuchaj go! – krzyknęła Laura. – Chris, chodź, szybko!

Stefan złapał Laurę za rękę i pomógł jej wydostać się z miejsca dla kierowcy. Kiedy Danny i Chris gramolili się z Blazera, Stefan usłyszał ryk silnika zagłuszający ostry poświst wiatru. Podniósł wzrok ku wysokiemu wzgórzu i zobaczył wielką półciężarówkę, która osiągnęła szczyt i zaczęła się teraz toczyć w ich kierunku. Pociągając Laurę za sobą, przebiegł przed maską Blazera.

– W górę na skarpę, szybko – powiedział jej obrońca.

Zaczął wspinać się po zepchniętym tu przez pługi, twardo ubitym, zlodowaciałym śniegu, stromo opadającym od pobliskiej linii drzew.

Laura obejrzała się na szosę i zobaczyła ciężarówkę, o ćwierć mili od nich i tylko sto stóp poniżej grzbietu wzniesienia, rozpoczynającą długi, wywołujący skurcz żołądka ześlizg po zdradzieckiej nawierzchni, co w końcu ustawiło ją w poprzek szosy. Gdyby ich nie zatrzymano, gdyby jej obrońca ich nie powstrzymał, znajdowaliby się teraz tuż poniżej grzbietu i w momencie, w którym ciężarówka wymknęła się spod kontroli, zostaliby zmiażdżeni. W tej chwili byłoby już po nich.

Obok niej Danny, z dzieckiem na plecach mocno trzymającym się ojca, też na pewno dostrzegł niebezpieczeństwo. Pozbawiona kontroli kierowcy ciężarówka mogła przebyć całą drogą w dół wzgórza i wpaść na dżipa i Blazera. Unosząc Chrisa i zawzięcie wdzierając się na pokryte śniegiem zbocze, ryczał na nią, żeby się ruszała.

Wspinała się, szukając uchwytów dla rąk i wkopując w podłoże. Śnieg nie był cały spojony w lodową taflę, gdzieniegdzie pokruszony odpadał kawałami i parę razy o mało nie przewróciła się na plecy i nie osunęła się w dół, na pobocze-szosy. Wydawało jej się, że do chwili, gdy dołączyła do swojego obrońcy, Danny'ego i Chrisa, na wąskiej, pozbawionej śniegu górskiej półce piętnaście stóp nad drogą, w pobliżu linii drzew, wspinała się dobre parę minut. Ale w istocie pod wpływem strachu musiała stracić poczucie czasu, bo kiedy spojrzała na szosę, zobaczyła, jak ciężarówka dalej ześlizguje się, aż wreszcie dwieście stóp od nich wykonała pełny obrót i znów stanęła bokiem.

Razem z nią, wśród spadających strumieni śniegu, jakby w zwolnionym tempie, nadciągało przeznaczenie, które przybrało postać paru ton stali. Na wielkiej platformie ciężarówki stał pojazd śnieżny. Widać było, że nie użyto ani łańcuchów, ani innego typu zabezpieczeń. Kierowca głupio zaufał sile inercji, która miała utrzymać pojazd na miejscu. Ale teraz miotał się od ściany do ściany, tłukł o brzegi i klapę platformy, o kabinę. W ciągu półmilowego ześlizgu, gwałtowne zmiany jego położenia dodatkowo naruszały równowagę ciężarówki, aż stanął nieomal dęba i wydawało się, że następny obrót ciężarówka wykona nie wokół osi pionowej, ale poziomej i przetoczy się przez dach.

Laura widziała, jak kierowca walczy z kołem kierownicy, zobaczyła obok kobietę z ustami rozwartymi do krzyku i pomyślała: „Och, mój Boże, biedni ludzie!"

Jakby odcytując te myśli, jej obrońca krzyknął ponad wiatrem:

– Są oboje pijani i nie założyli łańcuchów na koła.

Jeżeli tyle o nich wiesz, pomyślała, to musisz ich znać: dlaczego ich nie zatrzymałeś, dlaczego ich też nie uratowałeś?

Z potwornym zgrzytem przód ciężarówki uderzył w bok dżipa i nie przypięta pasami kobieta została wypchnięta przez przednią szybę: zawisła tak, wychylona do połowy z kabiny...

– Chris – krzyknęła przeraźliwie Laura, ale spostrzegła, że Danny zdjął już chłopca z pleców i tulił go mocno, odwracając jego twarz od wypadku.

Zderzenie nie zatrzymało ciężarówki: miała zbyt wielką bezwładność, a nawierzchnia była zbyt śliska, aby pozbawione łańcuchów koła mogły się jej uchwycić. Gwałtowne zderzenie zmieniło kierunek jej ślizgu – nagle obróciła się, osuwając się tyłem w dół wzgórza, a pojazd śnieżny wystrzelił przez tylną klapę, wyfrunął, wbijając się w maskę stojącego Blazera i roztrzaskując przednią szybę. W mgnieniu oka tył ciężarówki z miażdżącą siłą uderzył w przód Blazera, a skumulowana energia była tak wielka, że pchnięcie przesunęło pojazd dziesięć stóp do tyłu, mimo iż jego hamulec był mocno zaciągnięty...

Chociaż oglądała ten obraz zniszczenia z bezpiecznej wysokości, Laura uchwyciła się ramienia Danny'ego, porażona myślą, że na pewno zostaliby ranni, a może zabici, gdyby schronili się za którymś z boków Blazera.

... teraz ciężarówka odbiła się od ich wozu; krwawiąca kobieta wpadła z powrotem do kabiny i wolno ześlizgująca się, ale nadal pozbawiona kontroli zniszczona ciężarówka obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni w niesamowitym, pełnym gracji śmiertelnym *pas* i przesuwając się wzdłuż wzgórza, a zarazem w poprzek pokrytej śniegiem nawierzchni, przez dalsze pobocze, przez nie strzeżony brzeg, w pustkę, w dół, w niewidzialne – zniknęła.

Chociaż horror zginął jej sprzed oczu, Laura zasłoniła twarz obydwiema rękami, może usiłując nie widzieć wywołanego przez wyobraźnię widoku ciężarówki niosącej swych posażerów w dół skalnej, nieomal ogołoconej z drzew przepaści, walącej się w obrotach poprzez setki stóp. Kierowca i jego towarzyszka nie będą już żyli w chwili zetknięcia się z dnem urwiska. Nawet szalejący wiatr nie był w stanie zagłuszyć huku udrzeń ciężarówki o wystające skały. Ale w ciągu sekundy hałas tego gwałtownego upadku rozpłynął się i jedynym dźwiękiem było szaleńcze zawodzenie wiatru.

Oszołomieni, podtrzymując się wzajemnie, ześlizgnęli sią w dół stoku na pobocze szosy, pomiędzy dżipa a Blazera, na miejsce, w którym kawałki szkła i metalu pokryły śnieżną powierzchnię. Pióropusz dymu unosił się spod Blazera, gorący płyn chłodniczy wyciekał na zamarznięty grunt, a zniszczony samochód trzeszczał pod ciężarem śniegowego pojazdu wbitego w jego maskę.

Chris łkał. Laura wyciągnęła do niego ręce. Objął ją, a ona podniosła go i ściskała, kiedy szlochał w jej kark.

Oszołomiony Danny zwrócił się do ich wybawcy.

– Kim... kim, w imię Boże, jesteś?

Laura patrzyła na swego obrońcę, nie mogąc poradzić sobie z faktem, że naprawdę tu stoi. Nie widziała go od ponad dwudziestu lat, od chwili, kiedy miała dwunasty rok, tego dnia na cmentarzu, gdy dostrzegła, jak spod kępy wawrzynów obserwował pochówek ojca. A z bliska nie widziała go prawie dwadzieścia pięć lat, od dnia, kiedy w sklepie jej ojca zabił tamtego ćpuna. Kiedy nie udało mu się uratować jej przed Węgorzem i kiedy zostawił ją samą, żeby sobie z tym poradziła, zaczęła tracić w niego wiarę, a wątpliwości wzmocnił fakt, że nie zrobił też nic, aby uratować Ninę Dockweiler – lub Ruthe. Minęło tyle czasu, że stał się tylko senną marą, bardziej wyobrażeniem niż realnością. W ciągu ostatnich paru lat nie myślała o nim wcale: straciła wiarę w niego tak samo, jak Chris obecnie traci wiarę w Świętego Mikołaja. Dalej przechowywała list, który po śmierci ojca zostawił na jej biurku. Ale już dawno temu przekonała samą siebie, że tak naprawdę to nie napisał go jej czarodziejski obrońca, ale, być może, przyjaciele jej ojca, Cora albo Tom Lance. Teraz ponownie uratował ją w cudowny sposób i Danny w imię Boga zaklinał go, by powiedział, kim jest – a to samo chciała wiedzieć również ona.

Najdziwniejsze, że wyglądał tak samo, jak wtedy, kiedy zastrzelił ćpuna. Dokładnie tak samo. Rozpoznała go od razu, choć przeminął taki szmat czasu, bo nie postarzał się. Ciągle sprawiał wrażenie, że jest w połowie albo w drugiej połowie czwartej dziesiątki. Nie do wiary, lata nie pozostawiły na nim śladu, żadnego pasemka siwizny na szarych włosach, zmarszczek na twarzy. Chociaż tego krwawego dnia w sklepie był w wieku jej ojca, teraz należał do jej pokolenia lub był niewiele starszy.

Zanim mężczyzna zdołał odpowiedzieć na pytanie Danny'ego albo znaleźć sposób, aby uniknąć odpowiedzi, jakiś samochód pojawił się na szczycie wzgórza i zaczął posuwać się ku nim. Był to staromodny typ Pontiaca, zaopatrzony w dźwięczące na nawierzchni łańcuchy śnieżne. Kierowca widocznie dostrzegł zniszczenia dżipa i Blazera i zauważył ciągle świeże ślady poślizgu ciężarówki, nie zatarte jeszcze przez wiatr i śnieg, bo zwolnił – przy redukcji biegów śpiew łańcuchów śnieżnych przeszedł w grzechot – i przejechał w poprzek szosy na południową jej stronę. Zamiast jednak wjechać na pobocze i zupełnie wyłączyć się z ruchu, samochód jechał dalej w kierunku północnym, ale po niewłaściwej stronie drogi, i zatrzymał się zaledwie piętnaście stóp od nich, w pobliżu tylnego zderzaka dżipa. Z rozmachem otwarły się drzwi Pontiaca i wysiadł kierowca – wysoki mężczyzna ubrany na czarno. Trzymał w ręku przedmiot, który zbyt późno Laura zidentyfikowała jako pistolet maszynowy.

– Kokoschka! – krzyknął jej obrońca.

W tej samej chwili, w której padło jego imię, Kokoscha otworzył ogień.

Choć od czasu Wietnamu minęło już piętnaście lat, Danny zareagował instynktem żołnierza. Kiedy kule odbiły się od czerwonego dżipa i Blazera, przed i za nim, złapał Laurę, popychając ją i Chrisa na ziemię między dwoma pojazdami.

Kiedy Laura padała poniżej linii ognia, zobaczyła, jak Danny dostaje kule w plecy. Został trafiony raz, może dwa razy, a ona gwałtownie szarpnęła się, jakby to ją trafiły kule. Danny padł na kolana przed maską Blazera.

Laura krzyknęła rozpaczliwie; trzymając jedną ręką Chrisa, drugą wyciągnęła do męża.

Jeszcze żył i próbował przesunąć się ku niej na kolanach. Jego twarz miała kolor padającego wokół nich śniegu. Ogarnęło ją dziwne i straszliwe uczucie, że spogląda raczej w oblicze ducha niż w twarz żyjącego człowieka.

– Wejdź pod dżipa – powiedział Danny, odpychając jej rękę. Miał niski, chrapliwy głos, jakby coś pękło mu w gardle.

– Szybko!

Jedna z kul przeszyła go na wylot. Świeża krew płynęła z przodu jego niebieskiej, pikowanej, narciarskiej kurtki.

Kiedy zawahała się, podciągnął się na rękach i kolanach i popchnął ją ku stojącemu o kilka stóp dalej dżipowi.

Następna głośna seria z pistoletu maszynowego zaterkotała w powietrzu.

Bandyta bez wątpienia posuwa się ostrożnie do przodu, ku frontowi dżipa, i wymorduje ich, jeśli będą się tu kryć. Ale nie mieli gdzie uciekać. Gdyby pobiegli w górę stoku, ku drzewom, skosi ich seria, zanim skryją się bezpiecznie w lesie; jeżeli spróbują przebiec drogę, zastrzeli ich, nim dotrą na drugą stronę – zresztą po drugiej stronie czekała na nich tylko przepaść. Biegnąc pod górę, będą zbliżać się ku niemu, biegnąc na dół odsłonią plecy, tym bardziej wystawiając się na strzał.

cdn.